

Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

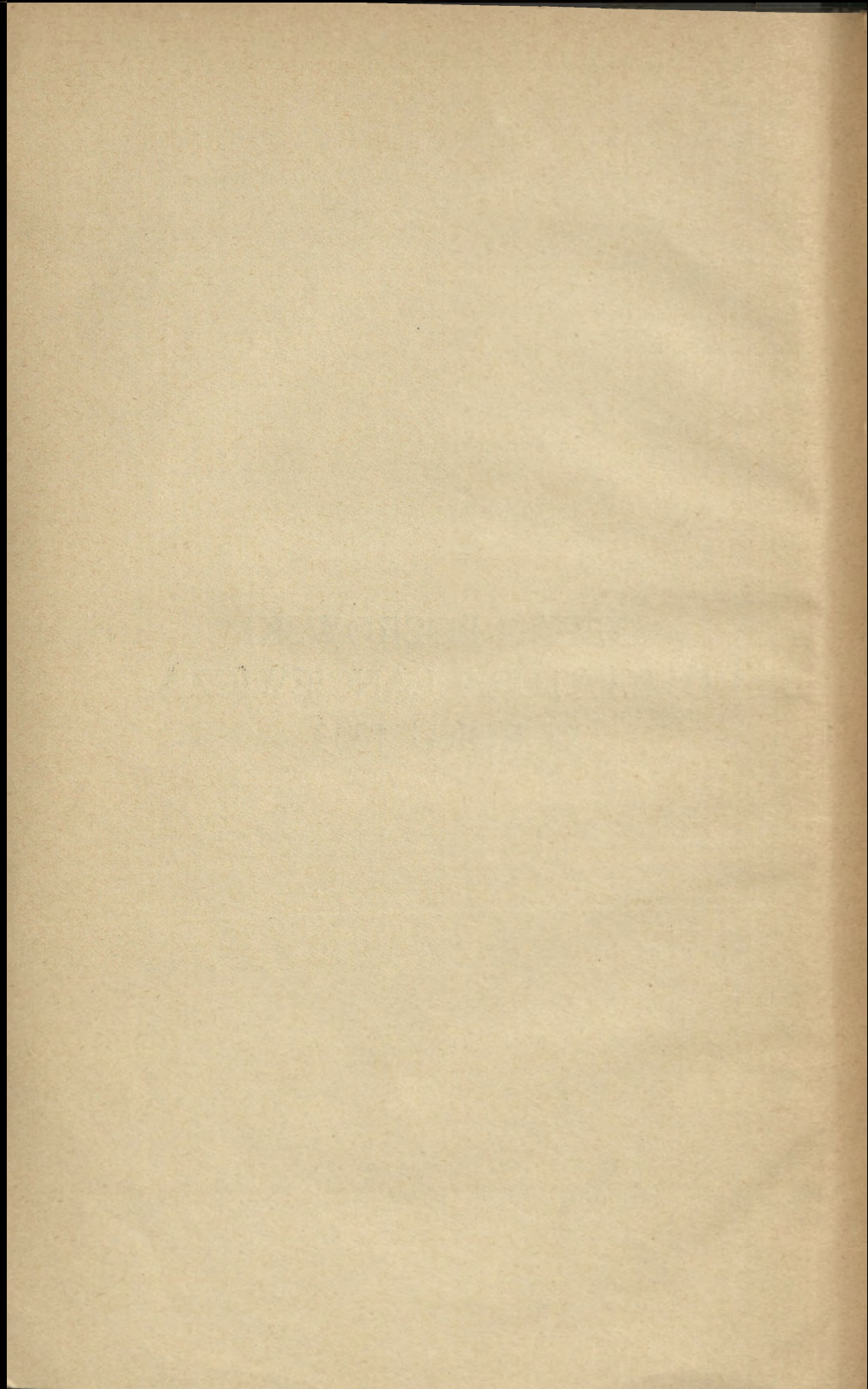
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES-PICTA.COM



STEFAN BOBROWSKI
I DYKTATURA LANGIEWICZA
W ROKU 1863



FR. RAWITA-GAWROŃSKI

STEFAN BOBROWSKI
I DYKTATURA LANGIEWICZA
W ROKU 1863

SKŁAD GŁÓWNY:

WARSZAWA. GEBETHNER i WOLFF
KRAKÓW. G. GEBETHNER i SPÓŁKA

1914

93/438/9 ; 92 (Bobrowski Stefan)



34401 | 2

ŹRÓDŁA.

1. Tadeusz Bobrowski: *Pamiętniki*. 2 tomy. Lwów, 1900.
2. Mikołaj Wasylewicz Berg: *Zapiski o powstaniu polskiem w r. 1863 i 1864*. 3 tomy. Kraków, 1899.
3. Henryk Wiercieński: *Wspomnienia niedawnej przeszłości*. („Bibl. Warszawska“, 1912, zeszyt I.)
4. *Materyały do historyi powstania 1863—1864*. Tom II. Lwów, 1890. Bentkowski: *Moje notatki*.
5. Toż, t. IV. Zeszyt I. *Wspomnienia z czasów młodości*.
6. Kazimierz Bartoszewicz: *Rok 1863. Historia na usługach ludzi i stromictw*. Kraków, 1895.
7. Ziemiałkowski Floryan: *Pamiętniki*. T. III. Kraków, 1904.
8. Jakób Gieysztor: *Pamiętniki z lat 1857—1865*. T. I. Wilno, 1913.
9. „Kronika powszechna“ № 5 z d. 1 lutego 1913. Zbiór wspomnień, notatek, uwag o roku 1863, najczęściej z charakterem autoreklamy. Cały materyał n-ru 5-go „Kroniki“ wyszedł w wydaniu książkowym.
10. *Dokumenta urzędowe do dziejów organizacyi jeneralnej powstania narodowego w latach 1863 i 1864*. Paryż, 1864. Szczegóły do dyktatury, odezwa i protesty Ludwika Mierosławskiego i jego zwolenników.
11. Władysław Zapałowski (Płomień): *Pamiętniki z roku 1863—1870*. Wilno, 1913. Autor surowo potępia dyktatora i dyktaturę.

12. *Dzieje 1863 roku* przez autora *Historya dwóch lat*. 4 tomy. Kraków.
13. W. M. Józefowicz: *Tridcať ljet tomu nazad. Oczerk iz studien-czeskoj žizni*. Kijów, 1898.
14. *Mało znany poeta*. (Apollo Korzeniowski). Odbitka z *Gazety Narodowej*, pióra zdaje się Stefana Buszczyńskiego.

Uwaga. Broszury, dzienniki i wspomnienia, w których są tylko wzmianki o dyktaturze, pominąłem.

Różne a nader sprzeczne wiadomości błakają się o dyktaturze Maryana Langiewicza i udziale w niej Stefana Bobrowskiego. Spróbowałem ująć w pewną całość nie tyle wypadki z dyktaturą związane, ile rozwój niejako tej idei, wcielenie jej w życie i wreszcie rychły upadek. Była ona płodem poronionym, próbą wyjścia z sytuacji, z której wyjścia nie było innego, jak tylko przez klęskę, ale wiązały się z nią dwa nazwiska, które na krótką chwilę błysnęły: jedno — nadzwyczajną energią, siłą woli i umysłem rozległym, atoli pozbawionym daru patrzenia w przyszłość, drugie — pewnym talentem wojskowym.

Dłużej zastanawiałem się nad Stefanem Bobrowskim, jego charakterem, życiem i warunkami tego życia, które go urobiły. Zajął on stanowisko męża stanu, nie mogło przeto być rzeczą obojętną, jakimi szedł drogami, w jakim otoczeniu urabiała się jego umysłowość, kto i w jakim stopniu wpływał na niego. Tę chwilę w jego życiu usiłowałem poznać i rozważyć.

Z Langiewiczem inna sprawa. Był on żołnierzem. Działalność jego pod tym względem tylko ludzie fachowi oceniają. Jako dyktator nic nie zrobił; nie miał po prostu na to czasu. Udział jego w powstaniu roku 1863 ograniczył się tylko do dyktatury, że tak powiem, tytularnej. Do rozwoju idei dyktatury, która niewątpliwie początek swój wzięła z niedołęstwa i niedojrzałości politycznej Rządu Narodowego, to i owo dorzuca jeszcze późniejsi pamiętnikarze — jedni dla wywyższenia i usprawiedliwienia siebie, drudzy — dla pokazania, jak mało widoków powodzenia miała rozpoczęta walka, kierowana przez ludzi, których miejsce w wielu razach powinno było być nie w rządzie, lecz na ławie szkolnej.

Faint, illegible text at the top of the page, possibly a header or introductory paragraph.

Second block of faint, illegible text, appearing as a distinct paragraph.

Third block of faint, illegible text, continuing the document's content.

Final block of faint, illegible text at the bottom of the page.

I. MŁODOŚĆ STEFANA BOBROWSKIEGO.

Urodził się on w roku 1841, d. 22 (10 v. s.) kwietnia, w Terechowej na Ukrainie, w powiecie berdyczowskim, z ojca Józefa i matki Teofili z Pilchowskich. Bobrowscy byli starą szlachtą. Wysokich urzędów w Rzeczypospolitej nie piastowali, a wszyscy, rozsiani po Litwie, Rusi i Mazowszu, pieczętowali się herbem Jastrzębiec. I Pilchowscy należeli do rodu niemniej starożytnego i w Rzpltej zasłużonego. Bywali z królem Stefanem w Moskwie, porucznikowali pod Gdańskiem, a pieczętowali się herbami: Nowina, Jastrzębiec i Rogala. Nie wiemy, która linia Pilchowskich spowinowaciła się z Bobrowskimi, jako też kiedy Bobrowscy przesiedlili się na Wołyń, a stamtąd dopiero na Ukrainę. Michał Biberstein Pilchowski, dziad Stefana po matce, posiadał wieś Terechową, w dawnym powiecie machnowieckim. Wieś ta była nabyta od słynnego przemysłowca, Prota Potockiego, przez ojca Michała w roku 1763, po sprzedaniu majątku na Rusi Czerwonej, późniejszej Galicyi. Linia Bobrowskich, do której Stefan należał, była rodem drobno-szlacheckim, nie mającym żadnych wybitnych koligacji; dopiero ożenienie się z Bibersteinówną wprowadziło Józefa Bobrowskiego w świat szlachty znaczniejszej, zamożniejszych posesyonatów, i skolięciło ich z Poradowskimi, Pilchowskimi, Giżyckimi i inn. wybitnemi rodzinami w prowincjach ruskich dawnej Rzpltej. Po ożenieniu się p. Józef zamieszkał w Markuszach, w powiecie lityńskim dzisiejszego Podola¹⁾, gdzie się zajął gospodarstwem, wiodąc zwykły tryb szlacheckiego żywota.

¹⁾ Markusze w roku 1898 należały do rodziny Szymanowskich, jako własność Maryi Szymanowskiej, żony Dominika.

Z Markusz, trzymany ch dzierzawą, gdy mu czynsz podwyższono, ojciec Stefana, wyprzedawszy się, przeniósł się na mieszkanie do Terechowej w roku 1838. Wioska, położona przy trakcie berdyczowskim, miała tę niedogodność, że znajomi i nieznajomi zajeżdżali tam na odpoczynek, a pojęcie gościnności szlacheckiej było tak wysokie, że trzeba było żywić gości, ich służbę i konie.

Siedząc tedy w Terechowej, ojciec Stefana rozglądał się za kupnem majątku za pieniądze posagowe żony i tak przesiedział tymczasowo pięć lat, bo do roku 1842, a w tym czasie urodził się najmłodszy syn, Stefan. Wogóle rodzina to była liczna, bo składała się z najstarszego brata Stanisława, który później służył w huzarach rosyjskich, Kazimierza, który niczem nie wyróżnił się w życiu, Tadeusza i młodszego od niego o lat dziesięć Stefana, jako też sióstr Ewy i Teofili. Stanisław wykształcił się na salonowego oficera, który kochał się, robił długi i hulał; Tadeusz poszedł na uniwersytet do Petersburga, gdzie kolegował ze słynnym z propagowania ugody polsko-rosyjskiej Włodzimierzem Spasowiczem. W roku 1842 ojciec Stefana nabył od rodziny Pułaskich, mianowicie od dzieci Kazimierza, ożenionego z Świętosławską, część miasteczka Oratowa ¹⁾ z wioską Kazimierówką i na stałą siedzibę na Ukrainę głębszą się przeniósł, co nastąpiło w czerwcu roku następnego. Był to niegdyś wielki majątek, należący do wygasłej już dzisiaj rodziny Oratowskich i składający się z m. Oratowa, jako też wiosek: Oratówki, Honoratki, Kazimierówki, Antonówki, Łopatynki i Zarudzia, które po kądzieli w części, jak się zdaje, przeszły do Dąbrowskich i Orańskich, a z Antoniną Orańską dostały się generałowi Antoniemu Pułaskiemu, synowi Józefa, starosty wareckiego, najpierw barszczaninowi, a następnie generałowi Targowicy. Otóż część tych posiadłości, jak już wspomniałem, nabył Józef Bobrowski, ojciec Stefana.

Tu, w sercu prawie Ukrainy, ubiegło młodemu Stefanowi pierwszych kilka lat życia pod okiem rodziców, wśród otoczenia, pełnego poezji i dostatku, wśród żywo przechowywanych tradycji niedawnej jeszcze świetnej przeszłości. Obdarzony przez matkę umysłem bystrym, wrażliwym i sercem szlachetnym, miał żywą dziecianną duszę, przystępną dla wszystkiego, co było pięknego w naszej przeszłości, a ziarna niezadowolienia, skarg i żalów poważnego ówczesnego społeczeństwa zapadały zapewne nieraz w tę wrażliwą duszę, aby

¹⁾ Gubernia kijowska, powiat lipowiecki.

w niej później skiełkować i rozbudzić drzemiącą energię do czynów i walki. To, co intuicyjnie wchłaniała młodość, wiek dojrzalszy zatrzymał i rozwinął.

W 9-tym roku życia Stefana zabrał do siebie na wychowanie krewny ze strony matki, Nepomucen Giżycki, człowiek zamożny, lubiący pański zbytek i życie, prawy, szlachetny, ale kapryśnego temperamentu i trochę dziwak. W siedzibie swojej, Mołoczkach, prowadził dom wystawny i wychowywał syna jedynaka, Kazimierza. Odwiedziwszy niegdyś Bobrowskich w Kazimierówce, tak się rozkochał w młodym Stefanie i póty ojca prosił, póki się nie zgodził na wyjazd syna do Mołoczek, gdzie miał się wychowywać razem z Kazimierzem. Po nagłej śmierci ojca zarząd interesami objął brat Tadeusz, człowiek rozumny, wykształcony, prawy, ale zarażony chorobą — trzeźwości petersburskiej. W maju wybrał się on do Mołoczek, aby się przekonać, jak tam idzie bratu nauka, a zarazem złożyć szacunek krewnemu. Nauczycielem był dawny kolega Tadeusza z Żytomierza, Grodzki. Otoczenie pańskie, zbytek i trochę fumów arystokratycznych, wśród jakich chował się młody Stefan, nie podobały się bratu, aczkolwiek w niczem to wszystko nie wpłynęło na charakter, usposobienie i myśli Stefana. Uznawszy otoczenie za niestosowne, z tytułu opiekuna i starszego brata wycofał Stefana, zaprosiłszy go do siebie, do Oratowa, z kuzynkiem i nauczycielem. Zatrzymał go tedy w domu niby chwilowo, a potem za opiekę grzecznie podziękował, mając zamiar wychować go — jak mówił — praktycznie.

Był to rok 1852. Zabrano się do przygotowania malca do gimnazjum. Jedna z sióstr wzięła na siebie religię i języki, brat Tadeusz — jak się wyraża — „przedmioty klasyczne“, a zapewne i matematykę, jeżeli ją zaliczał do „przedmiotów klasycznych“. Chłopiec okazał się bardzo zdolnym, bystrym, pojętym, a do nauk niezmiernie chciwym. Wogóle zarysowywał się w nim charakter i umysł niepospolicity. Do tych przymiotów umysłowych i moralnych dodać trzeba niezmiernie szczęśliwe usposobienie, łatwość zawiązywania stosunków i jednania sobie ludzi, tak, że można powiedzieć, iż wszyscy lgnęli do niego. Tym cechom jego charakteru towarzyszył intuicyjny prawie dar poznawania ludzi i umiejętność jakaś tajemnicza — rzeczby można — przyciągania ich do siebie. Już w dzieciństwie prawie objawiał się w nim umysł zapalny, przywiązujący się gorąco do idei, do pisarza, do dzieła lub utworu. Każdą czynnością, którą przedsiębrał, by-

wał całkowicie zabsorbowany. Jeżeli książka zajęła go, nie opuszczał jej, a nosząc przy sobie, w każdej chwili stosownej otwierał ją i czytał. Fizyognomię posiadał wyrazistą, wybitną, tak, że każde wrażenie, przebiegające przez duszę, odbijało się na twarzy. Chowając się w domu, gdzie sam był najmłodszym, a rodzeństwo znacznie przewyższało go wiekiem, dojrzewał — można powiedzieć — wcześniej, a osłuchany w poważnej rozmowie, uczył się na życie patrzeć poważnie. Ulubionym przedmiotem jego nauk była historia; ona też wcześniej otworzyła mu oczy na dzieje stosunków polsko-rosyjskich, na karty tych dziejów, zapisane ruiną i łzami czterech pokoleń, i stała się pewnego rodzaju przeciwwagą „trzeźwości“ i „praktyczności“ starszego brata. Pamięć dopomagała mu w nauce dziejów, a to, co raz sobie przyswoił, pozostawało w jego umyśle jak fundament niewzruszony. Od dzieciństwa odznaczał się krótkowzrocznością, a to tak dalece, że czytał, trzymając książkę prawie przy oczach, a przytem czytał naprzemian jednym tylko okiem. Zwykle wyrozumiały, był nieprzejednany w rzeczach historii i zasad postępowania, każdy błąd go drażnił, co się wyrażało bądź w grze jego twarzy, bądź w prostowaniu rzeczy, o ile to ze względów towarzyskich było możebne.

W wieku lat koło trzynastu odwiózł go starszy brat Tadeusz do Niemirowa, do szkół. Było to w sierpniu roku 1852. Dyrektorem gimnazjum w Niemirowie był Zimowski, człowiek, którego nawet koledzy profesorowie gimnazjalni lekko traktowali, jako złego pedagoga, łapownika i zwierzchnika bardzo a niesłusznie ostrego. Wprowadził on do szkoły system wzajemnego szpiegowania i donosy, co atmosferę moralną szkoły bardzo obniżyło. Karyerę jego zakończyła jakaś awantura uczniowska, w której jeden z uczniów, na nie szczęście — Polak, pchnął go nożem, co spowodowało jego dymisyę. Bobrowski przebył w gimnazjum niemirowskiem półtora roku. Życzeniem ojca było, żeby Stefan wykształcił się na prawnika, i w tym celu przeznaczał go do Szkoły prawa w Petersburgu. Ciężenie do stolicy Rosyi nad Newą wśród ówczesnej szlachty polskiej, szukającej dla synów swoich kariery, wydawało się poniekąd uzasadnionem. Przedewszystkiem nie było wyboru, bo tylko Kijów i Moskwa miały uniwersytety. Z tych kijowski nie cieszył się dobrą opinią: tańce, hulatyka, pijaństwo — oto były przymioty, szczepione na starszylacheckim pniu przez ówczesnego generał-gubernatora Wołynia, Podola i Ukrainy, Bibikowa. Moskwa była

zbyt obca i niczem nie pociągała. Charków niewiadomo z jakich powodów lekceważono. Pozostawał zatem Petersburg, gdzie na Uniwersytecie było kilku Polaków profesorami, gdzie wytworzyło się ognisko umysłowe około *Tygodnika Petersburskiego*. Współpracownicy tego pisma bawili się poza literaturą polityką pojednawczą na gruncie salonowym. Głośne imiona dawniejszych i późniejszych współpracowników *Tygodnika*: Michała Grabowskiego, Nowosielskiego, Henryka Rzewuskiego i ich bliższych lub dalszych satelitów, znane były bądź z polityki rezygnacyi i abdykacyi z wszelkich praw, bądź z kultu staroszlachetczyzny z jej wadami, bądź wreszcie z podjazdowej, że tak powiem, krytyki naszych dziejów. Gdy przeto z góry wiał zimny prąd błędnie pojętej i stosowanej trzeźwości politycznej, dołem rozsiadał się zadowolony z siebie kwietyzm wysokich sfer urzędniczych polskich. Przecławscy, Malewscy *et consortes*, dobiwszy się wysokich stanowisk urzędniczych, stali się milczącymi czcicielami siły, zapewniającej im hojne uposażenie.

Łączność naszej przygodnie bawiącej w Petersburgu arystokracji i wysokich sfer urzędniczych polskich z salonami rosyjskiego towarzystwa i wstępowanie w jego ślady przybyszów prowincjonalnych — złożyły się na wytworzenie pewnego rodzaju pobłażliwej wyrozumiałości w sprawach narodowych.

Po półtorarocznym pobycie w Niemirowie, w styczniu roku 1854 odwiedziono Stefana, prawie 14-letniego młodzieńca, do Petersburga, umieszczając go w pensyonacie niemieckim Emmege na pół roku, z warunkiem, że w ciągu tego czasu uczeń miał być przysposobiony do złożenia egzaminu do Szkoły prawa. Za ten czas zgodzono się wypłacić Eminemu 600 rubli. Brat Tadeusz nie wahał się jednak ponieść tych kosztów, byle przed młodzieńcem otworzyć drogę do kariery. Wspomniałem już, że Stefan okazywał niezwykle zdolności. Kierownik pensjonatu zwrócił na nie uwagę i okazał się bystrym i przewidującym pedagogiem. Radził przeto otworzyć młodzieńcowi szerszą drogę życia, zalecał wstąpienie do Uniwersytetu zamiast do Szkoły prawa, zbyt zacieśnionej pod względem ogólnego wykształcenia, a zanadto fachowej. Zaproponował więc zatrzymanie Stefana nadal u siebie i przysposobienie go do zdania egzaminu uniwersyteckiego. Na to potrzeba było jednak dwóch lat czasu, nie tyle ze względu na niedostateczne przygotowanie ucznia, ile z powodu wieku, bo według owoczesnych przepisów można było wstąpić do

uniwersytetu dopiero po ukończeniu lat 16-tu. W ciągu tych dwóch lat uczciwy Niemiec zdecydował się wziąć tylko 600 rubli rocznie za naukę i utrzymanie młodzieńca, z tem jednakże zastrzeżeniem, że młody uczeń będzie w niższych klasach pensjonatu wykładał historję. Stefanowi nadzieja szerszego kształcenia się bardzo przypadała do smaku, przeto propozycje Emmego gorąco w liście do brata i matki popierał. Propozycje te przyjęto i Stefan pozostał nadal w pensyonacie Emmego. Dwa lata minęły śród pracy i Stefan rzeczywiście złożył egzamin przepisany, a w roku 1856 zapisał się na Uniwersytet w Petersburgu w wydziale filozoficznym, na który przez dwa lata uczęszczał, będąc w dalszym ciągu nauczycielem historii w pensyonacie Emmego.

Jest to okres z życia Stefana Bobrowskiego najmniej znany — okres wielkiego rozbudzenia się ducha narodowego w młodzieńcu, który poszedł za swoją gwiazdą jasną ale nieszczęśliwą. Może kiedyś wspomnienia pamiętnikarskie tę dobę życia młodzieńczego rozjaśnią, dziś jeszcze braknie materiałów. Widać tylko, że z rodziną najbliższą nie był szczerzy: nie zwierzał się przed nią ze swoich walk, myśli, nadziei, marzeń, wątpliwości. Znajduje to poniekąd usprawiedliwienie w pozytywnej i trzeźwej rzekomo atmosferze opiekuna, która nie odpowiadała widokom i zasadniczym pojęciom Stefana na życie własne i narodu, jakie sobie już był powoli wyrabiał pod wpływem zetknięcia się z młodzieżą petersburską. Do tej tajemniczości przyczyniała się niewątpliwie chęć oszczędzenia przykrości rodzinie, gdyż drogi ich rozchodziły się zdaje się w przeciwnych kierunkach.

Dziwnym zbiegiem wypadków i okoliczności, w tym samym Petersburgu, gdzie się plenila polska „trzeźwość“ polityczna, było także gniazdo „marzycieli“ i „niepoprawnych“ — dwa kierunki, dwa prądy, ścierające się z sobą gwałtownie, ilekroć się zetknęły; jeden szedł górą, drugi — dołem, spodem się wicherzył; jeden był przesadnie lojalny, drugi żadnem uchem łowił dalekie echa życia narodowego, rwącego się ku wyżynom marzycielskim. Na czele uczącej się w Petersburgu młodzieży polskiej stał oficer generalnego sztabu, Zygmunt Sierakowski, uczeń niegdyś Uniwersytetu w Petersburgu, skąd zesłany za karę do Orenburga, wrócił jednak stamtąd, ukończył Akademię wojskową i jako oficer sztabowy dodany został do służby ministra Milutina. On to wygrzebał zamkniętego w korpusie paziów syna Karola Różyckiego, Edmunda, i w młodzieńcu, który zapomniał mowy ojczystej, rozbudził

polską duszę. Koło niego, jak przed rokiem 1848 tak i teraz, grupowała się ta część młodzieży, w której gorącej i szlachetniej biło serce polskie. Nie ulega prawie wątpliwości, że Stefan Bobrowski z Sierakowskim się stykał, gdyż, jakkolwiek życie ich rozdzieliło, znaleźli się wkrótce na wspólnej drodze.

Ku końcowi roku 1859 Bobrowski zapragnął przenieść się do Kijowa, który począł skupiać w sobie młodzież nie tylko prowincji ruskich, lecz także z Korony, gdzie Uniwersytetu nie było. Wzajemne zbliżenie się koleżeńskie nastąpiło niejako z konieczności. Po wstąpieniu na tron Aleksandra II jakiś świeższy powiew ogarnął młodzież — powiew nieokreślonych nadziei, wielkich dążeń i marzeń. Awantura z pułkownikiem Brinkenem, wskutek której padło ofiarą kilku z młodzieży akademickiej kijowskiej, zadzierzgnęła mocniej węzły koleżeństwa i skupiła wszystkich przy ideach narodowych. Z tysiąca kilkuset uczniów Uniwersytetu przeszło tysięcy należało do narodowości polskiej, resztę stanowili Rosjanie i Rusini, bardzo trwożliwie i nielicznie przyznający się do swojej narodowości. Już w tym czasie poczęły się tworzyć kółka koleżeńskie według prowincyi, a więc z macierzystej Polski — Koroniarze, następnie grupy z Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy. Na posiedzeniach tych kółek agitowały się sprawy koleżeńskie i publiczne, później zaś stały się one ogniskami nurtowań politycznych i z kadrów koleżeńskich przekształciły się z czasem w organizację, mającą na celu przygotowanie się do ruchu zbrojnego. W dobie takiego nastroju i niejasnych przygotowań, wyrażającego się w poetyckiem podniesieniu ducha i zapale, zjawił się w roku 1860 w Kijowie Stefan Bobrowski, zapisując się na wydział historyczno-filozoficzny. Prawdziwego powodu i tym razem, jak zwykle, przed rodziną i opiekunem nie wyjawiał. Wpadł tu w sam wir koleżeńskiego życia, a pod względem ożywiających go uczuć i myśli nie znalazł się bynajmniej odosobnionym. Zamieszkał wspólnie z Antonim Chamcem, Władysławem Henszlem i Wład. Kamińskim. Wszyscy oni odegrali wybitną rolę w ruchu przedpowstaniowym. Na Ukrainie, Podolu i Wołyniu agitowała się od niedawna sprawa pierwszorzędnego doniosłości cywilizacyjnej wogóle, a ekonomicznej i społecznej dla prowincyi ruskich: była to myśl o potrzebie usamowolnienia włościan a potem narady, a raczej rozmowy o tem, w jaki sposób myśl tę urzeczywistnić. Po urzędowych naradach w osobnym komitecie, które odbywały się z pole-

cenia rządu — o czym teraz mówić nie będę, dyskutowano nad tą ważną sprawą; w salonach, w zgromadzeniach prywatnych, w zebraniach *ad hoc*, a stąd myśl rozwiązania przez wieki zadzierzgniętego węzła pańszczyzny zapadała w młode dusze. Młodzież prawie bez wyjątku odznacza się czystością ideowych zamiarów, dopiero życie ją deprawuje, to też nic dziwnego, że i w Kijowie, nie zaprzatając się rozwiązaniem praktycznym, stanęła bezwzględnie po stronie ludu, obdarzając go idealną sympatią. Ale młodzież była polska, lud—ruski; młodzież wykształcona i ogrzana altruistycznymi doktrynami, lud ciemny, nieufny, nieświadomy swojej przyszłości, podejrzewający dobrą wiarę tych, których ojców przedstawiano jako jego wrogów. Na tle tych idealnych aspiracji młodzieży powstała grupa zapaleńców, która dla głoszonego przez się hasła: „przez lud i dla ludu“, hasła, spoczywającego na dnie jej czynności, myśli i marzeń, została nazwana *chłopotomanami*. Był to pierwszy demagogiczny objaw wśród polskiej młodzieży, a wogóle objaw niesłuchanie rzadki swoją bezinteresownością, jako też marzycielstwem politycznym. Młodzież szlachecka broniła nie swoich przywilejów, nie własnej materialnej przyszłości, lecz obcego sobie krwią i kulturą ludu ruskiego, stając obok niego i w obronie jego, nie raz przeciwko własnym ojcom. Na tle tego stosunku, który ze sfery dyskusji przeniósł się na pole praktycznego zbliżenia, utworzyła się grupa doktrynerskich idealistów, którzy na zbrataniu dwóch nader od siebie oddalonych historycznie, etnograficznie i społecznie warstw i narodów opierali lepszą przyszłość dla jednych i drugich. Było to marzenie szczytne, ale i strasznie rozwiewne, a praca dla urzeczywistnienia go zmarnowała niejedną pożyteczną siłę. To też na ołtarzu tej idei jedni złożyli życie, mienie i przyszłość — i takich była większość; mniejszość wycofała się. Jedni, jak Tomasz Ryłski, utknęli w doktrynerskiej beczynności, przygotowawszy sobie grunt do blizkiego wynarodowienia własnych dzieci przez związki z osobami, należącymi do religii uprzywilejowanej; drudzy, jak Włodzimierz Antonowicz, wyrzekli się z powodów politycznych religii rzymsko-katolickiej i narodowości polskiej.

Atmosferę umysłową i poniekąd moralną, w jakiej żył Stefan Bobrowski w Kijowie, charakteryzują koledzy jego szkolni i pamiętnikarze, jako pełną sentymentalnych marzeń politycznych na temat jakiegoś idealnego zbratania się ruskiego chłopca z polskim szlachcicem. Tkwiła w tem marzycielstwie

zdrowa realna idea — jako chęć uszlachetnienia włościanina, oświecenia go, a przede wszystkim podniesienia jego bytu materialnego. Ale była to idea nawskroś teoretyczna, prawie niemożliwa do wcielenia w życie, gdyż młodzież prawie nigdy nie posiadała możności realizowania jej bez stawiania w konflikcie bądź z ustawodawstwem, bądź nawet z opinią publiczną, usposobioną krytycznie i wyczekująco.

Wogóle w życiu uniwersyteckiem młodzieży kijowskiej od wstąpienia na tron Aleksandra II-go przesunęły się prądy liberalne różnych odcieni, a nawet nie brakło zacięcia rewolucyjnego, ale jasno sformułowanych celów i kierunków pracy na przyszłość nie było, a tem bardziej jednolitych celów politycznych. Idea walki orężnej świeciła w dalekiej perspektywie, pozbawiona wszelkiego oparcia; wyłoniła się jaśniej dopiero po roku 1860 i bardzo gwałtownie. Istniała konspiracja o zabarwieniu politycznym, ale z charakterem raczej koleżeńskim niż politycznym, nie jako cel poważny, lecz jako ponętny owoc zakazany; takim był związek t. zw. „trojnicki“. Wypadki warszawskie roku 1861 wywołały żywsze tętno w życiu młodzieży z odcieniem wyraźnie narodowym. Stefan Bobrowski brał w tem życiu czynny udział.

Kiedy jeden z kolegów wrócił z Warszawy, zażądano od niego szczegółowej relacji o wybitniejszych ludziach i zamiarach na przyszłość. W trakcie pisania zjawił się Bobrowski i naglił o zaniechanie relacji, a natomiast o zredagowanie opisu wypadków, jakie zaszły w Warszawie, dla odbicia go natychmiast w drukarni Trojnickiego i rozrzucenia między młodzieżą i nieliczną ludnością polską miasta. Zważmy, że w owe czasy telegraf był dla takich wiadomości niedostępny, a kolej żelazna nie łączyła jeszcze Warszawy z Kijowem.

Poza tem bawiono się w „chłopomanię“ i satyrycznymi wycieczkami przeciw „moszrodziejom“. Był to zwykły antagonizm pewnej siebie, przekonanej o własnej nieomyślności młodzieży do ludzi doświadczonych i rozważnych, hamujących za daleko idące zapędy szlachetne i piękne, ale rzadko ziszczalne. Cały demokratyzm polegał na powtarzaniu hałaśliwych frazesów Mierosławskiego, bardzo w owe czasy popularnego wśród młodzieży, i na głośnem wykrzykiwaniu: „Precz z tytułami książę i pan!“

Śród kozakującej młodzieży rej wodził Włodzimierz Antonowicz, jeszcze wtedy nawet, kiedy sam przekonał się, że wygodniej jest nosić surdut i frak niż świtkę. Jeżeli młodzież utrzymywała, że niema potrzeby walczyć—jak mówiono—z Małoru-

sinami, to starsza generacja niemniej była tego samego przekonania, z bardziej może utylitarneho stanowiska oceniając wzajemny stosunek swój do ludu, ale nie upatrywała bynajmniej rozwiązania zagadnienia polsko-ruskiego w noszeniu świtek, rzemiennych pasów, wysokich czapek baranich i pospolitowaniu się po karczmach. Inteligencya ruska była z własnym ludem w rozdźwięku, wyrzekając się dobrowolnie swego języka nawet w domu, a wychowana w szkole i kulturze wielkorosyjskiej, o żadnej pracy dla ludu i wśród ludu nie marzyła, chyba wyjątkowo. Narzucanie się przeto nasze z sentymentami i chęcią jakiejś osobliwej pracy dla niego i bezinteresownej życzliwości nie mogło nie budzić podejrzeń. Włodz. Antonowicz wręcz utrzymywał, że więcej należy obawiać się wpływu Polaków niż Rosyi. W sporach koleżeńskich wyrażał on obawę spolszczenia ludu ruskiego na Ukrainie za pomocą szlacheckich nauczycieli, księży i szkół, którzy deprawują ludność. Było to oskarżenie bardziej złośliwe niż prawdziwe, gdyż oprócz szkół parafialnych, w których nieliczna dziatwa urzędników prywatnych i sług pobierała początkową naukę czytania i pisania oraz religii, innych szkół z tytułem „polskich“ nie było. Takie maniactwo polityczne zaprowadziło Antonowicza z czasem do odstępstwa.

Punktem przełomowym i zwrotnym w znaczeniu narodowym stał się dopiero reskrypt Wielopolskiego o poborze do wojska. W jaki sposób to wpłynęło na dalsze losy Stefana Bobrowskiego, o tem w innym miejscu powiemy.

Wakacye roku 1860 Stefan spędził częściowo w Odesie na kąpielach limanowych, czas krótki u brata na Ukrainie, a resztę w Żytomierzu u siostry, będącej za mężem za Apolonem Korzeniowskim, kolegą szkolnym Tadeusza Bobrowskiego z gimnazyum żytomierskiego. Korzeniowski należał do rzędu tych poetów, którzy się nigdy rozgłosnej sławy nie dobili. Był to człowiek zapalony, szlachetny, sprawę narodową szczerze miłujący; pozyskał on serce panny — ale nie pozyskał ojca, który nie widział szczęścia dla córki w związku z tak nierównym i, jak się okazało, bardzo niespokojnego ducha człowiekiem. Córka rozumowała inaczej. Przypadł jej więcej do myśli i duszy niespokojny i poetyczny temperament Korzeniowskiego, niż pozytywni hreczkosieje, zbierający z pańszczyzny „karbowańce“ (ruble). Przełamała uporem wolę rodziców i wyszła za ukochanego. Mieszkał on wówczas w Żytomierzu, gdzie przy nowozawiazanej spółce wydawniczej pełnił jakiś urząd. Tu przesiadywał Bobrowski i śnać ze szwagrem

w konspiracye, się wdawał, a co ważniejsza miał do niego więcej zaufania niż do brata, któremu o żadnych robotach konspiracyjnych nigdy nie mówił. Rok 1861 przeszedł Stefanowi w Kijowie. O regularnej nauce mowy być nie mogło. Polityka, debaty nad uwłaszczeniem włościan, różnorodne sprawy koleżeńskie, jako też roboty agitacyjne czas pochłaniały. Na wiosnę tegoż roku Apollo Korzeniowski wyjechał do Warszawy z zamiarem stałego tam zamieszkania, mając na celu, o ile z pozorów można było sądzić, zajęcie się pracami literackimi.

W tym czasie Korzeniowski zbliżył się też z Leonardem Sowińskim bardzo popularnym wśród młodzieży kijowskiej poetą. Nastrojony bardzo demokratycznie i przyjaźnie usposobiony dla ludu wiejskiego, Sowiński interesował się nie tylko jego losem teraźniejszym i przyszłym, ale także tymi zaczątkami literatury, jakie od Tarasa Szewczenki impuls swój wzięły. Napisał kilka artykułów w *Gazecie Warszawskiej* pod napisanym nieco tytułem: „Studia nad ukraińską literaturą dzisiejszą“, które wydał w osobnej odbitce w formie małej broszury. Młodzież czytała ją chętnie, chętniej niż chude płody tej literatury, dyskutując oczywiście, zwyczajem młodzieży, bez końca. Śród takiej dyskusyi jeden z kolegów, jak się zdaje — Kazimierz Monasterski, wyraził się publicznie w pewnej jadalni studenckiej, że Sowiński nawołuje chłopów do rzezi szlachty. Podobnego wezwania broszura nie zawierała. Któryś z kolegów, może nie uważnie przeczytawszy, a może chcąc tylko zażartować z Monasterskiego, który lubił powtarzać cudze sądy, powiedział mu o rzekomem nawoływaniu, a Monasterski publicznie to powtórzył. Sowińskiego nie było w Kijowie, już objął był jakąś posadę nauczycielską na prowincyi. W obronie nieobecnego stanął Bobrowski i zażądał odwołania rzuconego podejrzenia. Monasterski, broniąc się, na chybił-trafił wskazał stronicę broszury, na której miały być te słowa. Sprawdzono — i okazało się, że nic podobnego niema. Wówczas Bobrowski wyzwał kolegę na pojedynek. Ktoś zawiadomił o tem zajściu Sowińskiego, który przyjechał do Kijowa i sam w obronie czci swojej stanął. Już na placu przyszło przecież do pojednania, gdyż wiadziano, że obraza wynikła raczej z próżności kolegi, chcącego się pochwalić własnym sądem, niż z chęci szkoderania cudzej sławie.

Tymczasem w Warszawie zatarg hr. Wielopolskiego ze społeczeństwem polskim przybierał coraz ostrzejsze formy,



i coraz częściej poczęto mówić o ruchu zbrojnym, który najbardziej odpowiadał gorącości uczuć młodzieży. Najmniej myślano o następstwach. Takie myśli, błakające się z początku samopas, potem powtarzane coraz głośniejsz, znajdowały najsilniejszy odgłos w różnych tajnych grupach młodzieży. W celu poznania, co się dzieje, jakie są zamiary, plany i prace, gorętsze żywioły z prowincyi często zaglądały do Warszawy. Tą drogą poszedł Apollo Korzeniowski, a za nim podążył Bobrowski. Za powód podał potrzebę odwiedzenia siostry do męża.

II. NA DRODZE KONSPIRACYJNEJ.

Wracając z Warszawy, wstąpił Bobrowski do Nowofa-stowa, gdzie wówczas mieszkał brat jego, Tadeusz. Przyjechał pocztą w nocy. Jechał wprost z Warszawy i wioził z sobą jakąś pakę bardzo ciężką w porównaniu z jej wielkością. Zwróciła ona uwagę służącego, który ją wraz z innymi ludźmi wyładowywał z pocztowej kibitki. Na zapytanie co to jest — Stefan odpowiedział: książki i kazał pakę złożyć w bezpiecznym miejscu. Rzecz była prawdopodobna. Bratu ani słówka o owych książkach nie powiedział, a wyjeżdżając także pocztą i w nocy, pakę ową zabrał z sobą, udając się wprost do Kijowa. Jak się później okazało, była to prasa litograficzna. Dowodzi to, że nietylko był wtajemniczony w bieżące roboty, lecz czynny brał w nich udział. Na tej prasie, w Kijowie, odbijane były różne odezwy z marką warszawską, długo w ten sposób bałamucać policję w Królestwie. Po długich poszukiwaniach w Warszawie, policya wpadła na trop, że tajemne odbitki i druki pochodzą z Kijowa, w tę więc stronę zwrócono poszukiwania, uwięzione skutkiem. Nastąpiło to jednak dopiero w styczniu czy lutym 1862 r. W październiku roku 1861 aresztowano w Warszawie Apollona Korzeniowskiego. Stefan Bobrowski natychmiast tam podążył, motywując przed bratem wyjazd potrzebą przyścia z pomocą siostrze; właściwym atoli powodem były roboty przygotowawcze i konspiracyjne, w których czynny brał udział, oraz potrzeba zbadania stanu rzeczy. Bawił tam zapewne kilka tygodni; w styczniu roku 1862 widzimy go znowu w Kijowie, ale w innym otoczeniu. Mieszkał wówczas razem z Janem i Karolem Brzozowskimi, synami Zenona, i ich nauczycielem, Aleksandrem Jabłonowskim. Nie towarzystwo młodych Brzo-

zowskich, lecz Jabłonowskiego, z którym był zaprzyjaźniony, skłoniło go do wspólnego mieszkania. Jabłonowski w życiu owoczesnej młodzieży cieszył się wielkiem zaufaniem i szcunkiem, a nastroj jego i przekonania odpowiadały zupełnie ogólnemu nastrojowi młodzieży kijowskiej. Gdy na początku lutego 1862 r. brat Stefana, Tadeusz, przyjechał na kontrakty do Kijowa, zastając Stefana w innym mieszkaniu i innem otoczeniu, ten wytłumaczył mu się, że poprzednie było zbyt gwarliwe, a on szukał trochę wypoczynku i spokoju do pracy. Usprawiedliwienie było prawdopodobne.

Wkrótce potem zaszła okoliczność, która uchyliła rąbek tajemnicy podróży Bobrowskiego do Warszawy i jego działalności w Kijowie, a przypadkowi tylko zawdzięczać należy, że już wówczas aresztowany nie został. Na pewien czas przedtem przybył z Warszawy i zapisał się na uniwersytet kijowski młody Żyd, nazwiskiem — zdaje się — Bernstein, który wśród kolegów w Warszawie bardzo lichej zażywał opinii, a przywiózł ją i do Kijowa. Wkręcał się do kółek młodzieży bardzo natarczywie i tem podejrzenie jeszcze bardziej ugruntował. Znał i widywał w Warszawie Bobrowskiego i litografa Hoffmana bardzo często we wspólnem towarzystwie. Gdy więc poczęto szukać owej prasy litograficznej, spadł na domysł, że Hoffman, który wyjechał już był do Kijowa, tam musi prowadzić tajemnie rzemiosło. Wysłano więc Bernsteina w te tropy jako szpiega i, jak się okazało, nie bez pożytku. Aresztowano owego Hoffmana, który był litografem „Ławry Peczerskiej“, gdzie najmniej chyba spodziewano się znaleźć fabrykę rewolucyjnych proklamacyi. Rewizya domowa w mieszkaniu Hoffmana przekonała, że podejrzenia były słuszne. Poczęto szukać Bobrowskiego. Na szczęście Stefana, był wówczas w Uniwersytecie imiennik jego, Aleksander Bobrowski, człowiek nie wiedzący o niczem, ale uczciwy. Zrobiono u niego nagle w nocy rewizyę, a chociaż nic nie znaleziono, policya przyprowadziła go do ówczesnego policmajstra Kijowa, pułkownika Iwensena. Spojrzawszy na studenta, pułkownik zawołał w gniewie: „Ależ to nie ten, tamtego znam doskonale!“ Oczywiście była tu mowa o Stefanie Bobrowskim. Gdy się dowiedział, że aresztowano jego imiennika oraz Hoffmana, nie czekając długo, umknął ze swego mieszkania i ukrył się. Aleksander Bobrowski prawdopodobnie nie wiedział o tem, ale wiedział, że brat Stefana, Tadeusz, bawi w Kijowie. Udał się przeto do niego i zawiadomił o tem, co się stało. Tadeusz począł poszukiwać brata

i po długich staraniach udało mu się nareszcie odnaleźć go w mieszkaniu kolegi z Uniwersytetu, Leszka Szwiejkowskiego, który, mieszkając z matką, o żadne knowania podejrzany nie był. Tu dopiero, w rozmowie z bratem, przyznał się, że był zamieszany w roboty konspiracyjne i musi uciekać z kraju. Decyzja była stanowcza. Po naradzie rodzinnej stryj dał na drogę sto dukatów w złocie, które brat mu wręczył, otrzyawszy przyrzeczenie, że jeszcze tegoż dnia, t. j. 11 lutego, Kijów opuści. Lojalny brat, dla pokazania się *urbi et orbi* i zamanifestowania, że z konspiratorem nic wspólnego nie ma, jako też dla odwrócenia od siebie wszelkiego podejrzenia, tegoż wieczora udał się na bal do marszałka gubernialnego, Horwatta. Widział się tam z wielkorządcą, księciem Wasilczykowem, który go „uprzejmie powitał i rozmawiał“, z czego „spenetrował“, że „eskapada brata w opinii księcia nie skompromitowała go“.

Pomimo danego bratu przyrzeczenia, Stefan tego dnia nie wyjechał; rozpuszczono jednak pogłoskę o wyjeździe jego, ażeby tem łatwiej zatrzeć ślad ucieczki. Kilka dni jeszcze przesiedział w Kijowie, nim się alarm uspokoił. Do pozostania w Kijowie przyczyniło się i to jeszcze, że pragnął doprowadzić do skutku ucieczkę Kryłowskiego, z którym się stykał w Żytomierzu. Miał w sobie Kryłowski dużo krwi polskiej po matce, krew ta w chwili stanowczej wzięła górę i przeważyła szalę jego życia na stronę polską. Ojciec jego, nauczyciel łaciny w gimnazjum żytomierskim, żonaty był ze Zdankiewiczówną. Gdy się rozpoczął okres manifestacyjny, młody Kryłowski wziął w nim gorący udział i za to został skazany na dźwiganie karabina w garnizonie żytomierskim, Tu, w czasie przebywania Bobrowskiego u Korzeniowskich, Kryłowski poznał się z nim, a namówiony do dezercyi, zamiar wykonał. Działo się to prawie w samo Boże Narodzenie. Kryłowski umknął do Kijowa, tu widział się z Bobrowskim i zapewne naradzał się z nim nad dalszym planem i zamiarem wykonania ucieczki, gdy w drogę weszła katastrofa z Hoffmanem, która i Bobrowskiego postawiła w konieczności szukania schronienia. Zamiast o wyprawieniu w świat jednego, trzeba było myśleć o dwóch. Trudnego zadania przemycenia dwóch przestępców politycznych, z których jednego czekała kula a drugiego Sybir, podjął się szlachcic Antoni Syroczyński, trochę zawadyka, ale szlachetny, odważny aż do zuchwałstwa i pełen poświęcenia. Był to typ wręcz odmienny od Tadeusza Bobrowskiego, bo, jakkolwiek człowiek

zamożny, ani chwili nie wahał się narażać majątek i rodzinę dla tak zwanych wybryków młodzieńczych. Był to już człowiek starszy wiekiem, bo się urodził w roku 1831, ale ciałem i duszą oddany idei tego ruchu wśród młodzieży, który miał przed sobą zbrojne powstanie. Na szczęście Stefana, Syroczyński właśnie przyjechał był na kontrakty. Dowiedziawszy się, co się stało, i że zachodzi konieczna potrzeba uratowania dwóch dzielnych młodzieńców, sam się ofiarował z usługą. Do krytych sani, któremi na kontrakty przyjechał, kupił w Kijowie parę koni i uprząż, przebrał się za furmana, i tak wyjechali w kierunku Dniestru, do granicy mołdawskiej. Syroczyński furmanił bardzo gorliwie, bo w drodze pilnował koni osobiście, „panom“ służył i sypiał na saniach w zajeździe, na mrozie. Tak dążyli do Tropowej nad Dniestrem, majątku Edwarda Jełowickiego, gdzie funkcję rządcy pełnił Szczęsny Miłkowski, brat Zygmunta (T. T. Jeża). Zajmował się on nie tyle zarządem majątku, ile urządzeniem prawidłowej komunikacji między główną kwaterą Zygmunta Miłkowskiego a Ukrainą, Podolem i Wołyniem, gdyż właśnie mniej więcej w tym czasie Zygmunt Miłkowski został mianowany przez Komitet Centralny naczelnikiem siły zbrojnej na te trzy prowincje.

Gdy podróżni zdążyli ku Tropowej, okólnik generał-gubernatora o poszukiwanie zbiegów poruszył wszystkie siły policji powiatowej. Naczelnicy policji pewnej części powiatu (*stanowej przystaw*) rozbiegli się po swoich dzielnicach dla poszukiwania przestępców politycznych. W tym czasie podróżni nadjechali do Tropowej. Przeprawa przez Dniestr okazała się niemożliwą z powodu ruszenia lodów i tania śniegów. Trzeba było kilka dni siedzieć i czekać oczyszczenia się rzeki z kry. W chwili takiego oczekiwania zjawił się w Tropowej komisarz policyjny przed samą nocą. Szczęsny Miłkowski zaprosił go do siebie i przedstawił mu gości podróżujących pod przybranymi nazwiskami. Zjedli wspólnie wieszę, a przy kominku rozgadali się o różnych sprawach bieżących i politycznych. Zmęczony komisarz począł uskarżać się na ciężką służbę, na wałęsanie się po nocy. „Ot i teraz — rzekł — szukam wiatru w polu, jakiegoś zbiegłego przed kilkunastu dniami z Kijowa studenta, który z pewnością już za dziesiątą górą siedzi; ja zaś tymczasem tłuc się muszę, wiedząc z góry, że napróżno, ale cóż robić — kazano“. Przenocowawszy odjechał, aby zdać raport, że poszukiwania nie odniosły pożądanego skutku. Tymczasem przestępcy szczęśliwie

przeprawili się przez Dniestr do Wołoszczyzny. Policya, poszukując Stefana i jego brata, nie spuszczała Tadeusza na chwilę z oka, zachowując się biernie dopóki ten siedział w Kijowie. Gdy wyjechał, na pierwszej stacyi pocztowej, w Wecie, spotkał się z jakimś panem, który się uskarżał, że długo na konie czekać musi, i odjechał — równocześnie z Tadeuszem Bobrowskim. Jechali czas pewien razem, aż dopiero na jakiejś stacyi, położonej śród stepu przed Białą Cerkwią, ów grzeczny towarzysz podróży, późno w nocy, w asystencyi poczmistrza, udał się do p. Tadeusza Bobrowskiego i oświadczył, że z polecenia władzy musi zrewidować powóz w celu przekonania się, czy nie towarzyszy mu brat Stefan. Oczywiście przestępcy nie znaleziono.

Na tem poszukiwania Stefana Bobrowskiego nie zakończyły się. W początku marca 1862 r. zjechał do p. Tadeusza najwyższy przedstawiciel policji w powiecie — „isprawnik“ powiatu skwirskiego. Zaproszony na obiad, po obiedzie i czarnej kawie począł się przypatrywać portretom i fotografiom familijnym. Rzecz zwykła. Mniej zwykła, ze względu na urzędowy charakter gościa, było wypytywanie się: kogo każdy z portretów przedstawia? Uwaga jego zatrzymała się na podobnie Stefana Bobrowskiego. Miły gość nie poprzestał jednak na admiracyi, lecz bez ceremonii poprosił, ażeby mu tę fotografię p. Tadeusz podarował. Bobrowski chciał wszystko obrócić w żart. „Dobrze — rzekł, — dam panu fotografię, ale wzamian za fotografię córki pańskiej“. Uchodziła ona za piękność. „A gdybym miał polecenie zabrać ją od pana?“ — „W takim razie oddałbym ją po wylegitymowaniu się przez pana, że taki jest rozkaz wyższej władzy, którą powinniśmy szanować“. „Sprawnik“ pokazał podpisane przez generał-gubernatora polecenie zabrania fotografii Stefana. Rozkaz miał adnotacyę: „Rewizyi nie robić; spytać tylko Bobrowskiego pod słowem w mojem imieniu: czy nie był brat u niego, i wziąć fotografię, jeżeli się znajdzie“. Urzędnik rozwiązał tę kwestyę łatwo: co do pierwszej części polecenia — przypuszczał, że brat nie mógł być tak nierozsądny, ażeby dobrowolnie iść w pułapkę; co do drugiej — fotografię zabrał.

Gdy „względność“ ks. Wasilczykowa, bezwzględnego dla innych, stała na straży osoby Tadeusza Bobrowskiego, brat jego Stefan bawił już na Wołoszczyźnie. Nie wiemy, jak długo tam przebywał; wiadomo tylko, że się stykał z Zygmuntem Miłkowskim i z domu jego wyjechał do Paryża, w celu nawiązania stosunków ze starą emigracyą. W marcu

już był w Paryżu i stamtąd napisał list do brata — dość suchy, przepraszający za brak otwartości i przyznający się do zaciągania długów na schedę ojczystą. List ten można tłumaczyć dwojako: albo Stefan, pisząc o braku otwartości, chciał zasłonić brata przed nagabywaniem władz i policji, albo to było wyznanie szczere w formie wymówki. W każdym razie w jednym i drugim kierunku list ów czynił zadość.

Z chwilą opuszczenia Kijowa Bobrowski wszedł na drogę robót tajnych, które zakończyły się dopiero z jego śmiercią.

Trudno wysledzić dalsze losy tego niepospolitego młodzieńca. Może działalność jego po wyjeździe z Kijowa wyświekli się nieco, gdy się ukazały pamiątki najbliższych jego współpracowników w Warszawie, które udział jego w wypadkach roku 1862 i 1863 wyjaśniają stanowczo. Obecnie znamy zaledwie kilka punktów tej działalności, które pozwalają postawić go na stanowisku nie tylko kierowniczym, lecz i najbardziej odpowiedzialnym. Wszyscy, którzy się z nim stykali, przyznają mu jednoznacznie niepospolite zalety umysłu i charakteru, energię i poświęcenie się bez granic.

Nie wiemy, jak długo bawił w Paryżu, ale przyjazd jego tam był celowy i poniekąd nieunikniony. Paryż w owe czasy był środowiskiem nie tylko wszelkiej myśli o Polsce, lecz i ogniskiem agitacyjnym, w którym przesiadywał jeden z największych warcholów politycznych tamtych czasów, Ludwik Mierosławski. Demokrata z pospolitem, radykalnym zacięciem, szermujący frazesami patryotycznymi, swoim płytkim a hałaśliwym patryotyzmem zaraził zapalone głowy, wywierał ogromny wpływ na młodzież, obniżając jej szlachetny zapach do poziomu patryotycznych komunałów. Należy przypuścić, że Bobrowski zetknął się osobiście z tym generałem, ale, jak obaczymy później, rychło się na wartości jego poznał.

Tymczasem wrzenie narodowe wzrastało coraz bardziej we wszystkich ziemiach dawnej Polski, ogarniając wszelkie warstwy społeczne. Głośno mówiono wszędzie o nieuniknionej walce orężnej, a gorętsze żywioły radeby były rozpocząć ją zaraz, nie pytając ani o środki, ani o następstwa, a podniecając się z niesłychaną lekkomyślnością plotkami lub nieraz nonsensami politycznymi, wyczytanymi w prasie francuskiej. Ludzie rozważni siedzieli cicho, nie mając odwagi płynąć przeciw wzburzonej fali, a zdawało się nieraz, że naród stracił zupełnie równowagę krytycznego sądu. Społeczeństwo z jednej strony było drażnione patryotycznym radykalizmem młodzieży, która kierownictwo opinii publicznej w swoje ujęła

ręce, a z drugiej—despotycznym acz słusznym i politycznym stanowiskiem hr. Wielopolskiego. Od początku roku 1862 idea powstania była już tak popularna, że nikt nie wierzył w możliwość innego rozwiązania historycznego sporu jak tylko orężem. Trzeźwiejsi i rozsądniejsi chcieli tylko odłożyć ten termin na czas nieograniczony, wymagany koniecznością zorganizowania sił narodowych, ale o walce myśleli wszyscy.

Kierowano się pod tym względem raczej własną dobrą wiarą i złudzeniem, niż realnymi warunkami państwowymi, i szukano związków rewolucyjnych poza granicami kraju. Jednym z takich złudzeń była dobra wiara w możliwość współdziałania rewolucyjnych organizacji rosyjskich. Złudzeniu temu uległ także Bobrowski, a w jesieni 1862 roku odbył podróż do Moskwy, zatrzymując się po drodze w Kijowie i Żytomierzu. I tu stosunki jego pozostały dotychczas tajemnicą, a wątpić należy, czy tajemnicą nie pozostaną na zawsze, albo znane będą tylko z opowiadań dawnych członków R. N., o ile się ujawnią w pamiętnikach. W każdym razie okres ten uważać należy za przygotowawczy — do nieznanego bliżej terminu.

Z największym prawdopodobieństwem przypuścić można, że Bobrowski po powrocie z Moskwy zatrzymał się w Warszawie, skąd już prawie nie wyjeżdżał na czas dłuższy aż do ostatniego swego wyjazdu w kwietniu 1863 roku, wyjazdu zakończonego jego śmiercią. Stosunki konspiracyjne w Warszawie pozostawiały wiele do życzenia. Istniał wprawdzie komitet miejski jako władza kierownicza do pewnego stopnia, ale obok niego istniała grupa zorganizowana, która już w jesieni 1862 r. przybrała nazwę komitetu centralnego; zaczęły w niej przeważać wpływy rewolucyjne, kierowane przez Jarosława Dąbrowskiego i grupkę Chmieleńskiego, a prące do powstania. Obok komitetu centralnego istniał równorzędnie inny — miejski. W walce poniekąd z komitetem miejskim był Bobrowski w roli naczelnika miasta. Skutkiem tej walki ustąpić musiał Rolski, a miejsce jego zajął Zygmunt Padlewski, przyjaciel osobisty Bobrowskiego; należy przypuszczać, że stało się to nie bez jego udziału. Chodziło o to, ażeby szala pragnień i złudzeń przeważała, tem bardziej, że cofnięcie się z zajętego stanowiska było prawie niepodobieństwem.

Dalszy rozwój wypadków do mojego tematu nie należy. Chodzi mi przedewszystkiem o to, jaką rolę odegrał Stefan

Bobrowski w dyktaturze Langiewicza. Żywiolowy prąd ruchu narodowego unosił z sobą najrozważniejszych ludzi.

Z chwilą wydania odezwy do narodu, wzywającej do walki orężnej, K. C. opuścił Warszawę, aby łatwiej i lepiej mógł zająć się organizowaniem walki. Pozostała Rada miejska, której władza coraz bardziej malała i zacierała się; utworzono natomiast komisję wykonawczą, jako władzę tymczasową, której przewodniczącym został Bobrowski w charakterze naczelnika miasta. Kolega uniwersytecki tak go opisuje: „Był to brunet małego wzrostu, szczupły, o rysach ostrych, o zaciśniętych, ledwie widocznych ustach, zawsze małomówny“. Wezwawszy do siebie kolegę, któremu się przypomniał i przedstawił jako naczelnik miasta, zdał krótko relację z tego co zaszło i polecił napisać instrukcję dla naczelników oddziałów. Kolega, jako człowiek nie mający nic wspólnego z wojskowością, czynił mu różne uwagi, amozę i wymawiał się od wkładanego nań obowiązku. Bobrowski nie rzekł ani słowa, w końcu powtórzył swoje żądanie w formie stanowczej, powiedział, gdzie się ma odbyć następne zebranie i uściśnieniem ręki pożegnał kolegę.

Nie wiadomo dokładnie, czy ta instrukcja została rzeczywiście napisana i jaką była, gdyż ów kolega Bobrowskiego we wspomnieniach swoich nic o niej nie powiedział więcej. To tylko pewna, że z komitetu centralnego, jako tymczasowego R. N., starzy wojskowi byli mocno niezadowoleni. Jeziorański wyrażał się w obecności Langiewicza otwarcie: „Jaki to R. N., złożony z młokosów, o których nikt nic nie wie, z jakichś gryziopiórków, nie mających najmniejszego wyobrażenia co to jest wojna, a mimo to wydających nam rozkazy, nominacje, rangi! Co to za R. N.? Nie wiadomo ani przez kogo obrany, ani mający stałych, uregulowanych stosunków z najistotniejszą częścią powstania, z jego armią! R. N. okryty tajemnicą, istniejący, a jakby nie istniejący! Mojem zdaniem R. N. powinien być tu — inna rzecz, w jakiej postaci, a najgorsza zaś: dyktatura Mierosławskiego, lecz i ta, sądząc, lepsza byłaby, niż rząd obecny warszawski“.

Taka opinia niewątpliwie mocno kursowała w owe czasie, a w miarę niepowodzenia szerzyła się coraz bardziej. Mimo to wszyscy tego niewidomego rządu słuchali, gdyż chodziło tu nie o ludzi, lecz o ideę władzy jednolitej i o poszanowanie tej idei. Przekonanie o nieudolności rządu było bardzo rozpowszechnione i krytykowane, nawet przez jego najwybitniejszych przedstawicieli.

III. WALKA O WŁADZĘ.

Tymczasowemu R. N. czyniono wiele zarzutów, mniej lub więcej uzasadnionych, ale posiadał on niewątpliwie jedną wielką zaletę: rzutkość i energię młodości. Przyjawszy z młodzięcą pewnością siebie wielki obowiązek na barki i świadomość odpowiedzialności, rozwinął akcyę szeroką, pełną poświęcenia się w obliczu niebezpieczeństwa. Tylko patryoci frazesowi wymykali się za granicę, najchętniej do Galicyi, gdzie po roku 1870, poza gronem poważnych pracowników, w suterynach społecznych i umysłowych powstała kuźnia krzykliwego patryotyzmu, która tyle samochwalstwa i fałszu wprowadziła do historyi roku 1863, że usunięcie ich wymaga osobnej i uciążliwej pracy krytycznej.

Niezadowolony z T. R. N., który, jak i następny, będę nazywał wogóle R. N. (gdyż nie piszę monografii tego rządu, lecz dotykam jednego momentu jego działalności), było powszechne we wszystkich trzech dzielnicach. W ognisku tego rządu, w Warszawie, musiała się tedy błąkać myśl zastąpienia go innym, innymi ludźmi. Było to następstwem bądź osobistych intryg ludzi żądnych władzy, bądź wpływało ze świadomości, że tak, jak jest, być nie może nadal. Dwie grupy polityczne, które zarysowywały się wyraźnie nietylko na tle wypadków bieżących, lecz prawie od chwili manifestacyi warszawskich, występowały dość wybitnie: jedna, której powszechnie miano „białej“ dawano, druga — nazwana „czerwoną“. Tamta była umiarkowana o tyle, że nie występując z niechęcią do powstania jawnie i stanowczo, radaby była termin wybuchu odłożyć, dla lepszego rzekomo przygotowania się. Drugą grupę możnaby nazwać rewolucyjną; posiadała ona więcej energii i zarozumiałości, aniżeli doświadczenia i świadomości politycznej i narodowej czynu, do którego parła. Zwyciężyła druga i władzę w swoje ręce ujęła.

Po pierwszych niepowodzeniach powstania, po pierwszych rozczarowaniach okazała się już niedostateczność tej władzy i konieczna potrzeba wysunięcia na czoło jakiejś znanej indywidualności, która by bodaj rozgłosem imienia mogła wywieść pewien urok na polu bitwy. „Czerwoni“ wysuwali Mierosławskiego, rodzica krzykliwego patryotyzmu; chciano go postawić na czele sił wojskowych. Na razie nikt się nie wybił zdolnościami wojskowemi. Okazało się jednak, o czem dawno wiedzieli ludzie rozważni, że Mierosławskiego można uważać tylko za mniej lub więcej szczęśliwego awan-

turnika, chełpliwego i próżnego, ale nigdy za wodza naczelnego. W ciągu lutego kilkoma drobnymi zwycięstwami błysnęło nazwisko Maryana Langiewicza.

Cicha walka dwóch obozów, w których nie można było nieraz dojrzeć i rozpoznać akcyi kierowników, zaostrzyła się jeszcze bardziej, gdy grupa radykalna zamierzyła ogłosić formalnie dyktaturę Mierosławskiego, który udał się był do Krakowa i tam przesiadywał.

Jakie knowania odbywały się poza plecami R. N., tego nie wiemy dokładnie. Domyślać się jednak wolno, że myślano o innej władzy, gdyż rezultaty tych knowań ujawniły się wkrótce. Bardzo szybko obiegać zaczęły pogłoski, że R. N. nie istnieje, że stracił głowę wśród groźnie a niepomysłnie rozwijających się wypadków i władzę z rąk wypuścił. Pogłoski te znajdowały pozorne usprawiedliwienie w fakcie, że K. C. z początku powstania udał się na prowincyę, ażeby bliżej zetknąć się z ludźmi, czynnymi już w polu, i całą akcyę poprowadzić energiczniej. Równocześnie zarysował się na horyzoncie politycznym zwrot niby pomyślny — życzliwe usposobienie dla powstania Napoleona III, jedno z tych złudzeń, którym tak często dawaliśmy i dajemy wiarę w ciężkiem życiu narodowem.

Na tle tych pogłosek i opinii począł zarysowywać się plan walki o władzę, czyli — jak grupa radykalniej usposobiona utrzymywała — intryga ze strony „białych“, t. j. żywiołów uniarkowanych, aczkolwiek i te żywioły walkę oręzną popierały. W walce tej nieposlednią rolę wzięły na siebie Stefan Bobrowski, można śmiało powiedzieć — rolę kierowniczą, którą ostatecznie życiem przypłacił. Dlatego też nad tym wypadkiem, który powszechnie nazywano dyktaturą Langiewicza, zastanowić się musimy szczegółowo i spróbować znaleźć linię orientacyjną, która niekiedy w całej tej robocie gubi się i płacze.

Nieraz zastanawiano się nad tem, a raczej nieraz nasuwała się myśl, czy nie byłoby dobrze zdecydować się na jawny rząd narodowy, który byłby do pewnego stopnia reprezentantem narodu walczącego i przez to samo budziłby zaufanie nietylko u swoich, lecz i wśród obcych. Napotykała ta myśl zawsze poważne trudności, o których mówić nie będę, gdyż bliższa analiza tej idei wykracza poza granice działalności St. Bobrowskiego i samego faktu dyktatury. Podejrzewano jednak, a może tkwiła w tem pewna doza słuszności, że istniejący R. N. nie życzył sobie ujawnienia, gdyż wykry-

łaby się cała jego nicość, a choćby tylko mała powaga, skutkiem czego musiałby się usunąć od władzy. Drugą ważniejszą kwestyą było, czy nie uwidocznic go w jednej osobie, a w takim razie jako najodpowiedniejsza forma władzy centralnej wysuwała się dyktatura. Oczy ludzi rozważniejszych zwracały się ku Langiewiczowi, który zdołał wybić się na wierzch. Ale trzeba było działać. Akcja skupiła się w ręku hr. Adama Grabowskiego, który objął w niej rolę kierowniczą.

Co to była za osobistość? Nie mówiono o nim nic dobrego, ale też niezbyt można było wierzyć temu, co mówiono złego, bo były to czasy panowania podejrzliwości, a nieraz oszczerstwa. Giller, bardzo skory do obwiniania wszystkich, kto tylko inaczej niż on myślał, powiada, że Grabowski uciekł z Poznania przed długami; inni zarzucali mu jakieś sprzeniewierzenie i radzi byli zasłonić w ten sposób Bobrowskiego od stawienia się do pojedynku z Grabowskim, co później nastąpiło. Zarzuty te sąd honorowy uznał za nieważne. Nie chodzi nam wszakże o obronę czci Grabowskiego, lecz o czynność polityczną, związana z jego nazwiskiem. W Warszawie bywał w najwyższych towarzystwach, między innymi u hr. Andrzeja Zamoyskiego. Tu zetknął się z Leonem Królikowskim, dyrektorem żeglugi parowej na Wiśle, człowiekiem bardzo zbliżonym do sfer rewolucyjnych i bardzo w tym kierunku czynnym. W domu jego zapoznał się z Bobrowskim, który już wówczas ukrywał się pod nazwiskiem także Grabowskiego, z Janczewskim i innymi. Człowiek obyty, łatwo orientujący się, wyczuł od razu, że ma do czynienia z ludźmi, stojącymi na czele ruchu, i umiał się stać pożytecznym: ułatwiał sprowadzenie broni, wynalazł fundusz na drukarnię tajną, ale wszystkich członków komitetu nie poznał.

Zrozumiawszy a raczej domyśliwszy się, jaki nastrój panuje w Warszawie, jakie jest położenie komitetu, w lot pochwyił błakającą się tu i ówdzie myśl utworzenia rządu jawnego. Gdzie? Oczywiście nie w Warszawie, lecz za granicą. Może rządu niezupełnie jawnego, bo tylko z widomą głową naczelnictwa wojennego. Okoliczności potemu były dość przyjazne: z jednej strony mające obietnice Napoleona III, z drugiej zachowanie się dwuznaczne a obłudne — jak zawsze co się tycze Polski — Austrii. Przymykanie oczu ze strony Austrii na to, co się dzieje, dawało niejako wskazówkę, że ze względu także na teren walki najlepszą, najdogodniejszą i względnie najbezpieczniejszą siedzibą takiej wła-

dzy byłby Kraków. Ale w czyich rękach miała się ona skupić, jakiej grupy? Radykaliści marzyli o Mierosławskim, którego powszechnie a słusznie obawiano się jako awanturnika. Pozostawała zatem grupa umiarkowana, budząca najwięcej zaufania. Najsilniejsza, a właściwie najpoważniejsza ze względu na ludzi, była ta grupa w Galicyi. Rządu w Królestwie tak jak nie było, a to, co było, nie przekraczało mierności. Nasuwała się przeto myśl stworzenia nowej władzy, poważniejszej, silniejszej.

Być bardzo może, że takie zamiary kołatały się w głowie Grabowskiego, w tym bowiem kierunku począł on działać. Ze strony istniejącego R. N. były one, jak i cała późniejsza akcja Grabowskiego, uważane za samozwańcze, za występne, ze strony grupy umiarkowanej — za usadnioną potrzebę usunięcie nieodpowiedniego rządu a postawienia na jego miejscu innego, odpowiedniejszego w istniejących warunkach i stosunkach. Jednym Grabowski mógł przedstawic się jako intrygant polityczny, drugim — jako człowiek zręczny i śmiały, dążący do zmian pożytecznych.

Adam hr. Grabowski postanowił wyjechać do Krakowa. Z właściwą rolą, którą wkrótce miał odegrać, nie zdradzał się przed nikim w Warszawie; powiedział tylko, że jedzie do Krakowa. Ułatwienie przyszło nieoczekiwanie. Gdy powiedział, że ma zamiar udać się do obozu Langiewiczza, Królikowski zaproponował mu doręczenie Wysockiemu tysiąca rubli, a dla ułatwienia odszukania generała wydał w imieniu R. N. kartę legitymacyjną — nic więcej, żadnych innych upoważnień, żadnych innych poleceń. Dalsza akcja była rozwinęta przez Grabowskiego na własną rękę, na własną odpowiedzialność; tak przynajmniej ze stanowczością utrzymywali zwolennicy rządu styczniowego i najczynniejszy z nich wszystkich Stefan Bobrowski. Początek jej i rozwój przedstawia taką gmatwaninę, z poza której przegląda albo niewiadomość albo chęć ukrycia prawdy, że wątpić należy, czy cała ta akcja, jedna z najważniejszych w powstaniu, będzie kiedykolwiek rozwikłana i wyjaśniona w zupełności. Najbliżej rządu styczniowego stojący Giller przedstawia cały przebieg według pamiętnika Bentkowskiego, świadka a poniekąd uczestnika całej tej akcji; sam Bentkowski przyznaje się, że brał w niej udział tylko przygodnie, tylko przypadkowo. Niedokładność i rozbieżność przedstawienia tej całej sprawy stąd niewątpiwie pochodzi, że wiele osób mówiło o niej, a niektóre były mniej lub więcj wybitnymi członkami rządu. Ludzi takich,

nieraz urzędników R. N., i ich opinie brano częstokroć za enuncyacye rządu, a ich wystąpienie za wolę tego rządu. Tajemniczość oddawała usługi nieraz bardzo niepożądane.

Rozważmy akcyę, zmierzającą do zmiany rządu narodowego, w głównych jej wersjach, o ile one dadzą się wydzielić ze wspomnień, znanych nam dotychczas.

Berg powiada, że hr. Grabowski „zaciągnął się pod znaki“ tej grupy młodych szlachciców, która zajmowała środek między „białymi“ a „radykałami“, przechylając się w swoich umiarkowanych dążeniach do stronnictwa „białych“. Nie występowali oni przeciwko powstaniu, ale pragnęli innego kierownictwa, innego rządu, innego oparcia; uważali, że pomysł oddania dyktatury w ręce takiego człowieka jak Mierosławski musi przynieść szkody nieobliczalne i przeciwko temu występowali, nie mając wszakże odwagi a może decyzyi na krok stanowczy.

Grabowski słusznie przypuszczał, że inicjatywa w akcyi, dotyczącej zmiany rządu, może wyjść z Galicyi, gdzie łatwiej porozumieć się z ludźmi i bezpiecznie krążyć można. Byłaby może ta akcja nie miała tak gorączkowego przebiegu, gdyby nie okoliczność, że w Krakowie, gdzie hr. Grabowski zatrzymał się, przesiadywał także Mierosławski z całym swoim sztabem i czekał tylko powrotu do zdrowia, jak powiadał, ażeby proponowaną mu dyktaturę objąć. W tym fakcie tkwił największy pono impuls.

W sprawę zmiany rządu powstańczego było wmiieszanych kilku ludzi, którym współudział przypisywano w różnym stopniu. Akcyę całą miał rozpocząć hr. Grabowski. Zarzucają mu, że się przedstawił jako pełnomocnik R. N., którym nie był, a zatem cała jego działalność była intrygą polityczną ambitnego człowieka, który sam pragnął wziąć udział w rządzie.

Ziemiałkowski, członek komitetu lwowskiego, pisze, że „K. C. pod wpływem nowoprzybranych członków, dalej widzących (nazwisk nie wymienia), zdecydował się, naradziwszy się z komitetem poznańskim, krakowskim czyli Galicyi zachodniej i lwowskim czyli Galicyi wschodniej, ustanowić rząd jawny i z tą propozycją przyjechał Bentkowski do Lwowa“. Wówczas zainterpelowano Bentkowskiego co się stanie z dyktaturą Mierosławskiego, która, jakkolwiek jeszcze nie ogłoszona, była już powszechną tajemnicą. Bentkowski miał uspokoić komitet lwowski zapewnieniem, że z dyktatury tej nie będzie, gdyż Mierosławski nie spełnił postawionych mu

warunków. „Przyrzekliśmy więc—pisze Ziemiałkowski w tonie stanowczym,—że dla ostatecznego ukonstytuowania rządu narodowego pošemy naszego delegata do Krakowa, dokąd miał przyjechać delegat komitetu centralnego i delegat poznański“. Uradzono, by zaprosić także Wysockiego, jako „powagę stronnictwa ruchu czyli t. zw. czerwonego“ — jak powiada Ziemiałkowski, — co też nastąpiło za pośrednictwem Bentkowskiego. Wysocki zaprosiny przyjął, a w roli delegata wyjechał książę Adam Sapieha. Na drugi czy trzeci dzień po przyjeździe do Krakowa Sapieha zawiadomił kuryerem komitet lwowski—zawsze opowiada Ziemiałkowski,— że „pełnomocnik K. C., Grabowski, proponuje, ażeby Langiewicza zamianować dyktatorem, przydając mu Wysockiego jako ministra wojny, Bentkowskiego jako szefa sztabu i sekretarza dyplomatycznego, jako też dwóch obywateli (nazwisk nie cytuję), jednego jako ministra administracyi, drugiego — finansów. Ministrowie mają stanowić razem z dyktatorem R. N., a każde rozporządzenie rządu ma być kontrasygnowane przez Bentkowskiego. Reszta członków rządu, prócz sekretarza, ma być tajna“. Na zapytanie Sapiehy: co robić, komitet lwowski wysłał Golejewskiego z poleceniem, aby, gdy delegat poznański zgodzi się na dyktaturę Langiewicza, uznać ją także.

Wspomniałem już, że myśl dyktatury Langiewicza zrodzić się musiała w Warszawie, w gronie ludzi blisko stojących rządu lub mających informacye o rzeczywistym stanie rzeczy. Faktem jest, że w końcu lutego w Warszawie rządu nie było, ale tylko w znaczeniu jego nieobecności. Po wyjeździe pozostał sekretarz rządu, Królikowski, i naczelnik miasta, Stefan Bobrowski. Mylne zrozumienie sytuacji dało powód do przypuszczenia, że rządu niema, a zatem trzeba stworzyć inny, z innych ludzi złożony, i uczynić go jawnym. Przeprowadzenie akcji bez niczyjego upoważnienia wziął na siebie Grabowski „w dobrej wierze“, jak mówiono poniekąd słusznie, ale w złej wierze zasłaniał się, jak obaczymy, pełnomocnictwem tego rządu, który pragnął obalić.

Inaczej nieco opisuje cały przebieg akcji przygotowawczej do ogłoszenia dyktatury Langiewicza człowiek, który na robotę patrzył, ale do udziału w niej nie przyznawał się w tej mierze, jak mu go przypisywali inni. Był to właśnie Władysław Bentkowski, jeden z najdzielniejszych i najwykształceńszych oficerów w powstaniu. W „Notatkach“ jego, spisanych na prośbę A. Gillera, początek wyłonienia się dyktatury przedstawia się inaczej.

Pod koniec lutego przybył do Berlina posłaniec od Wysockiego z wezwaniem Bentkowskiego na szefa sztabu do generała, który miał wielką jakąś przedsięwziąć wyprawę. Przybywszy do Krakowa 28 lutego lub 1 marca, Bentkowski dowiedział się, że Wysocki odjechał do Lwowa i jego tam wzywa. Zatrzymawszy się kilka godzin zaledwie w Krakowie, podążył do Lwowa bez żadnych upoważnień i planów co do dyktatury. Gdyby tak było, byłby niewątpliwie coś o tem wspomniał w swoim pamiętniku, gdzie dużo miejsca poświęcił Langiewiczowi i dyktaturze. Z hr. Adamem Grabowskim zetknąć się także nie mógł, gdyż ten przebywał w Warszawie, a w ciągu krótkiego pobytu w Krakowie, od pociągu do pociągu, nie było na to czasu. Wprawdzie na dworcu, zetknąwszy się z kimś z Poznańskiego (nazwiska nie wymienia), dowiedział się, że rząd tymczasowy został wyłapany i rozproszony, ocalało tylko dwóch, którzy sobie rady dać nie mogą — Grabowski i Królikowski. Przypominam, że Stefan Bobrowski używał pseudonimu „Grabowski“, uchodził więc za imiennika hr. Adama Grabowskiego.

Wysłuchawszy projektów Wysockiego o wkroczeniu na Ruś (miało to nastąpić za trzy tygodnie, a nastąpiło za cztery miesiące), nie chciał czekać, uważając, że czas będzie tracił na próżnowaniu. Z drugiej strony wyprawa i plany z nią połączone miały dużo fantazyi a mało podstawy do urzeczywistnienia. Ksawery Branicki miał poruszyć (nieistniejącą w rzeczywistości) kozaczyznę, a Miłkowski miał operować od Wołoszczyzny i Podola. Zawsze widmo fantastycznej Kozaczyzny pokutowało w planach roku 1831, 1855 i 1863, a nie było sposobu pozbyć się tych marzeń kozackich. Bentkowski usprawiedliwił się przed Wysockim tem, że we Lwowie byłby bezczynny, że teraz zatem wstąpi do pierwszego oddziału, jaki w granice Królestwa wyruszy, a gdy przyjdzie pora, wróci do Lwowa i przy boku generała stanie.

Jadąc do Lwowa, w wagonie zetknął się Bentkowski z Władysławem Siemieńskim, a że znał jego rodzinę, zawiązała się rozmowa, z której Bentkowski dowiedział się, a raczej z półsłówek domyślił się, że ma przed sobą człowieka, który jest lub udaje, że jest wtajemniczony we wszystkie arkana rządu, że jest już od kilku dni w podróży, że jest przemęczony, że spieszy z ważnemi poleceniami. Bentkowski tu i owdzie spotykał się z Siemieńskim we Lwowie, a nawet u Wysockiego, ale o misyi jego, jej charakterze i celu nie wiedział. Wszedłszy przed wyjazdem do Krakowa do Wysockiego, Bentkowski zastał go

chodzącego w zamyśleniu po pokoju, a na stoliku leżała jakaś kartka. „Wystaw sobie — rzekł generał, — może będą znów musiał tymi dniami jechać do Krakowa. Oto — dodał, wskazując na ową kartkę, — przyniósł mi Siemieński wezwanie na jakąś nagłą konferencyę z nadzwyczajnym komisarzem R. N., który ma temi dniami przybyć z Warszawy do Krakowa. Z wszystkich prowincyi wezwani są pełnomocnicy na wielką naradę. Widać, że z rządem krucho i że sobie rady dać nie może. Jednej wszelako rzeczy nie rozumiem, t. j. że w ekspedycjach i listach, które tymi czasy, całkiem nawet niedawno, od R. N. odebrałem, żadnej zgola nie czynią mi o tym zjeździe wzmianki“. Porównywając różne znaki, pieczęcie, pismo, numery, dostrzegał brak jakiejś formalności. To było powodem wahania się z wyjazdem do Krakowa. Siemieński zaś narzekał na brak stanowczości ze strony generała, który raz przyrzekał, to znowu odwoływał przyrzeczenie wyjazdu, i do wyjazdu naglił, gniewając się na starego generała z powodu niedecydowania się nieraz głośno a nawet nieprzyzwoicie.

Ostatecznie Wysocki do Krakowa pojechał, nie równocześnie jednakże z Bentkowskim, gdyż później nieco w Krakowie się z nim zetknął. Jednocześnie z Bentkowskim jechał także Adam Sapieha, jak się okazało, także na ową wielką naradę, zainicyowaną przez Grabowskiego, ale go Bentkowski osobiście nie znał. Przyjechawszy do Krakowa 7-go marca, Bentkowski miał zamiar nazajutrz rano, razem z Leonem Chrzanowskim, redaktorem *Czasu*, udać się do obozu Langiewiczza, którego znał dawniej, i przyłączyć się do oddziału. W mieście panował nastrój gorączkowy. Wszędzie widać było młodzież, sposobiącą się do powstania; ulice, sklepy przepełnione ludźmi. Za dużo nawet było tej wrzawy przedwojennej, niż na tajne przedsięwzięcie przystało. W sferach, bliżej rządu stojących lub informowanych jako tako o różnych projektach i zamiarach, toczyły się również hałaśliwe rozprawy na temat bieżących wypadków. Wyrazy: „dyktatura, rząd“ — były na ustach wszystkich. Mierosławski po swojemu agitował, odgrażał się, przyrzekał, błagował. Wybierał się na plac boju, z którego haniebnie i lekkomyślnie był umknął, obiecywał, że obejmie dyktaturę, którą mu w styczniu jeszcze tajemnie R. N. przyznał. Powszechnie obawiano się tego patryotycznego warchoła i jego krzykliwej agitacyi, to też nie miał przy sobie ludzi poważnych, wszyscy byli przeciwko niemu; zaledwie kilku młodych hałaśników

adjutantowało mu. Nominacya na dyktatora miała być dana Mierosławskiemu warunkowo i wygasnąć 9-go marca, gdyby do tego terminu nie stawił się na terenie wojennym i władzy nie objął. Podejrzewano, że po pierwszej próbie nie bardzo mu się chciało narażać na trudy i niebezpieczeństwa obozowe, wolałby dyktatorować z Krakowa.

W takim rozgardyaszu opinii i sądów, narzekañ i walk ukrytych, intryg podstępnych i samochwalstw, agitowała się coraz namiętniej idea władzy jawnej. Wszyscy mieli już dosyć tajemniczości, która dobrą być mogła póki trwał okres spiskowania, ale okazała się niedołączną, gdy trzeba było gadanie zamienić w czyn. Dnia 8 marca nie mógł Bentkowski wyjechać do obozu, jak się był umówił z Chrzanowskim, który zasłaniał się różnemi zatrudnieniami, połączonemi — o ile sądzić można po wypadkach, zaszyłych nazajutrz—z dyskusyą o dyktaturze. Bentkowski wyjaśnia współudział swój w całej tej sprawie jako zupełnie przypadkowy, bez żadnego poprzednio obmyślanego planu i bez żadnego upoważnienia z czyjejkolwiek strony.

Kiedy już delegaci komitetów prowincjonalnych zjechali się do Krakowa, ze Lwowa Adam Sapieha, z Poznańskiego hr. Łubieński (którego Bentkowski ukrył zdaje się pod pseudonimem Łuby), wystąpił na arenę w roli nieco tajemniczzej Adam hr. Grabowski. Niektórzy mieli go za członka R. N., jednego z tych, którzy jeszcze jakoby pozostali, inni za owego komisarza pełnomocnego, którego tytuł był na ustach wszystkich. Jedyne wiarogodną i najpoważniejszą relacją o przebiegu narad o dyktaturze i jej ogłoszeniu posiadamy od Bentkowskiego.

Dopiero dn. 8 marca przed wieczorem zetknął się Bentkowski w sali jadalnej hotelu Saskiego z Adamem Grabowskim, o którym już od Łubieńskiego wiedział, że przybył tu w jakiejś ważnej misyi; z ogólnego nastroju i gadania nie-trudno było domyślić się—jakiej. Wszyscy o niej wiedzieli—w tajemnicy. Leon Skorupka, który w tym samym hotelu mieszkał, zaprosił Bentkowskiego na naradę; miało przybyć więcej osób. O godzinie oznaczonej wszedł Bentkowski, zastał rzeczywiście kilka osób, które, o ile domyślał się, składały komitet krakowski. Spostrzegłszy trochę urzędowy charakter zebrania, cofnął się, ale go gospodarz mieszkania zatrzymał. Wkrótce wszedł hr. Adam Grabowski. Posadzono go uroczyście na kanapie, inni w około zajęli miejsca, najstarszy wiekiem gen. Kruszewski przewodniczył.

Ktoś zagałł dyskusyę o ogólnem położeniu sprawy polskiej i powstaniu. Dodać muszę, że przy wejściu ani też później nikt nie sprawdzał legitymacyi osób obecnych, czego najlepszym dowodem, że w zgromadzeniu tem uczestniczył bez żadnego upoważnienia Bentkowski. Grabowski na rozmaite interpelacye odpowiadał w imieniu R. N., posługując się stale formułką: R. N. jest zdania, R. N. musi na to odpowiedzieć i t. p. W ten sposób pozwalał niejako domyślać się swego urzędowego stanowiska. Przyszła wreszcie na stół sprawa dyktatury. Rozważywszy ogólne położenie, obecni przyszli do przekonania, że potrzebny jest rząd jawny, że ponieważ na czoło niejako akcji wojennej zdolnościami i energią wybił się Langiewicz, byłoby dobrze ujawnić do pewnego stopnia rząd w jego osobie. Komitet krakowski — powiada Bentkowski — oświadczył się za tą dyktaturą, za nim poszedł Sapieha w imieniu komitetu G. W., jako też Łubieński w imieniu Poznańskiego, kładąc nacisk na to, że „Wielkopolska życzy sobie dyktatury, uważając ją jako jedyny ratunek w tak rozpaczliwym położeniu“. Zapytany w tej mierze o zdanie, Bentkowski oświadczył, że na tem zebraniu znajduje się przypadkowo, że przybył tu jako żołnierz i powstaniec. Później dodał w swojej „Notatce“, że co do dyktatury nie powzięto uchwały żadnej. Jakkolwiek Bentkowski, człowiek bardzo prawdomówny, poważny i trzeźwy, wyraźnie pisze o udziale komitetu krakowskiego w dyskusyi o dyktaturze, Koźmian powiada, że „grono krakowskie nie brało udziału w wytworzeniu dyktatury“. Jakież „grono“ było w hotelu Saskim, gdzie się na dyktaturę zgodzono, i w jakiegoż grona imieniu działał Leon Chrzanowski? Nawiasem dodać należy, że Wysockiego na tej naradzie nie było, chociaż już nazajutrz występuje w roli czynnej, jak obaczymy. Różnie się na tę dyktaturę zapatrywano, szczególnie po jej upadku bardzo rychłym, nazywając ją po prostu „śmiesznością“. Nie szczędzono takich samych epitetów a nawet gorszych i rządowi narodowemu.

Langiewicz wiedział o propozycji, jaką mu uczynić miano. Kto odbywał z nim konferencye przed naradami delegatów — nie wiadomo dokładnie, zdaje się, że Kołaczkowski, rodzaj adjutanta Grabowskiego, albo Leon Chrzanowski, być może, wspólnie z „gronem“ krakowskiem, gdyż w obozie Langiewiczza była już rozmowa na ten temat. Już dn. 6 marca, jeśli wierzyć Bergowi, były jakoby tajemne narady z Langiewiczem w Goszczy. Ponieważ komunikacya z Kra-

kowem odbywała się bez przeszkody, obóz Langiewicza był ciągle odwiedzany przez różnych ludzi, z którymi nad czemś radzono tajemniczo. Dnia 7 marca Kołaczkowski, *alter ego* Grabowskiego, rozgłaszał, że się zanosi na wielkie zmiany. Tomczyński i Prędowski, którzy dzień przedtem radzili z Langiewiczem a następnie wrócili do Krakowa, w dniu 8 marca już znowu byli w obozie na naradach. Rzeczą było widoczną, że odbywało się gorączkowo jakieś porozumiewanie ważne. Mówiono niewątpliwie o dyktaturze, już bowiem dn. 7 marca Langiewicz, znalazłszy się sam na sam z Jeziorańskim, dowódcą jednego z oddziałów, przyznał się, że mu ofiarują dyktaturę i że propozycyi nie przyjął. Odmowę pochwalił Jeziorański, uważając, że chwila po temu stosowna nie jest. Po długiej naradzie z Langiewiczem nazajutrz Tomczyński i Prędowski oświadczyli w obozie, że komitet warszawski rozwiązał się, że władzy nie ma żadnej, a Langiewicz znowu wszczął z Jeziorańskim rozmowę na temat dyktatury. Jeziorański musiał się czegoś domyślać, a może, jak go podejrzewano, myślał o dyktaturze dla siebie, uważając, że jest równie a nawet więcej zasłużony dla sprawy narodowej niż Langiewicz. Potępiając przeto ostro R. N., wyraził się, jak wiemy, że nawet dyktatura Mierosławskiego byłaby lepsza od takiego rządu. Wogóle między Langiewiczem a Jeziorańskim panowała pozorna grzeczność, ale wzajemnej sympatii i zaufania nie było. Jeden w drugim upatrywał współzawodnika. Jeziorański cieszył się miem w pewnej grupie wojskowych, która go nawet na wodza naczelnego forytowała. Langiewicz wiedział o tem, że Jeziorański potajemnie działa przeciwko niemu. Nie było to tajemnicą także dla tej grupy, która popierała Langiewicza. Szło o to, ażeby go zjednać lub przekonać, wogóle uczynić o ile można nieszkodliwym.

Dn. 9 marca rano Bentkowski wybrał się z Chrzanowskim do obozu; towarzyszyły im wozy, naładowane prowiantem i bronią. Pomimo że już kozacy kręcili się po okolicy, zdołali dotrzeć do obozu. Na głównej kwaterze Langiewicza w Goszczy, dokąd przybyli przed południem, przed dworkiem panowało duże ożywienie. Zastano tam Grabowskiego i Kołaczkowskiego, którzy widocznie już jakąś naradę z Langiewiczem odbyli. Obecni byli także pułkownicy Waligórski i Jeziorański, świeżo mianowany generałem, przystrojony w różnobarwne szarfy, z kitkami przy czapkach, adjutanci, powstańcy, wszystko to kręciło się bez planu i celu.

Chrzanowski, który obok Grabowskiego najwięcej, jak się zdawało, interesował się dyktaturą Langiewicza, wiedząc, że Jeziorański niezbyt jest przychylny dla swego szefa, pragnął wy badać jego usposobienie dla całej akcji. Zainterpelowany przez Chrzanowskiego w sprawie wytworzonej sytuacji, Jeziorański odpowiedział: „Chodzą wieści, że R. N. w Warszawie przestał istnieć. Jeśli to prawda, czy nie wartoby spróbować utworzenia jawnego rządu zagranicą? Powstanie nie ma ani wielkich sił, ani zasobów, ogłoszenie dyktatury w takich warunkach tylko prędzsy i pewniejszy sprowadzi upadek powstania“. Chrzanowski utrzymywał, że utworzenie rządu jawnego jest niemożliwe przedewszystkiem dlatego, że ludzie, którzyby się podjęli tej misji, naraziliby się na przesładowanie przez rząd rosyjski; następnie Austria i Prusy nie zachowałyby się także wobec tego faktu obojętnie. Wreszcie, gdzie taki rząd miałby swoją siedzibą? — „Według mego zdania — rzekł z naciskiem, — najwłaściwsze miejsce dla takiej władzy jest w obozie. Z taką władzą można nawiązać przyzwoite stosunki, a nie wyszukiwać tej narodowej organizacji, kryjącej się po mysich norach“. Nie przewidywał Chrzanowski, że władza w obozie tylko dopóty mogła mieć znaczenie, dopóki wódz naczelny zdołałby uniknąć ostatecznej porażki. A taki wypadek był do przewidzenia.

Jeziorański, wysłuchawszy argumentów Chrzanowskiego, odrzekł z pewnem niezadowoleniem: „Jeśli pan tak myśli, że sprawa polska zyska a nie straci na dyktaturze, to róbcie sobie Langiewicza dyktatorem, ja się do tego mieszać nie będę. Radzę jednak, nie powierzajcie mu naczelnego dowództwa, bo do tego niezdolny; takiej wojny, jaką my zmuszeni jesteśmy prowadzić, nie rozumie“.

Jasną było rzeczą, że dyktatura w samym obozie napotka na opozycję. W poufnej rozmowie z Langiewiczem Jeziorański oświadczył generałowi, że warunki nie sprzyjają, według jego zdania, dyktaturze, gdyż do tego potrzeba mieć 100 000 wojska i bodaj część kraju wolną od nieprzyjaciela. Na to Langiewicz odpowiedział: „Jeśli ja nie przyjmę dyktatury, to weźmie ją kto inny“. Na tem się rozmowa prze-rwała.

Z etknięcie się Bentkowskiego z Langiewiczem było bardzo krótkie. W rozgwarze, jaki panował, niepodobna było wdawać się w szczegóły. Langiewicz mianował go szefem swego sztabu zamiast Tomasza Winnickiego, który, pomimo wielu zalet, nie był jednak wojskowym. Bentkowski miał

odjechać do Krakowa, ażeby się zająć stosownem wyekwi-
powaniem. Tymczasem Langiewicz zaprosił obecnych na
śniadanie obozowe. „W środku izby — powiada Bentkow-
ski — stał długi stół z masłem, szynką, wódeczką, cygarami,
to wszystko pomieszane z bronią, czapkami, papierami, ma-
pami, pieczęciami. Nawaliło się do pokoiku za nami ze 30
osób i powstańców w najrozmaitszych ubraniach, ale że mun-
durów nie było, więc rozeznać nawet nie umiałem, czy to są
oficerowie i z jakiego tytułu w tak nadzwyczajny sposób go-
ścinnosci i braterskości dowódcy nadużywają. Kiedy zakąska
już się miała ku końcowi, spostrzegłem różne szeptania i pe-
wną preokupację. Widocznie była dowódcom i główniej-
szym osobom jakaś przerwana czynność czy konferencya na
myśli, którą podjąć i do końca doprowadzić pragnęli. Miar-
kując to, trąciłem Chrzanowskiego w łokieć i rzekłem: Chodź-
my. Korzystając z chwili uciszenia się, Langiewicz odezwał
się: „No, moglibyśmy teraz przystąpić...“ Wezwał tłumne
towarzystwo do opuszczenia pokoiku i przed drzwiami na
warcie postawił dwóch kosynierów, ażeby nikogo do pokoju
nie wpuszczano. Nie obeszło się to bez szmeru nieukontent-
owania, ale ostatecznie izba się opróżniła“. Wychodzącego
Bentkowskiego Langiewicz zatrzymał słowami: „Niech poseł
zostanie“. Tytułu tego używano z racyi długoletniego po-
słowania Bentkowskiego do sejmu pruskiego. W pokoju po-
zostali: Langiewicz, Jeziorański, Waligórski, Winnicki To-
masz, Grabowski Adam, jako też „młody człowiek w czarnej
cywilnej czamarze, bez broni, o którym dowiedziałem się —
mówi Bentkowski, — że był to Biechoński, komisarz rządowy
na w-dztwo krakowskie“, wreszcie Chrzanowski i świeżo
mianowany szefem sztabu Langiewicza — Bentkowski. Roz-
mowa toczyła się o dyktaturze, jako o temacie, który był
poprzednio omówiony, bez przewodnictwa, i miała charakter
gawędy. Jeziorański teatralnie ubrany — mówi świadek —
w szarfię pułkownikowskiej, w czapce z kitką, z miną po-
ważną i napuszczoną, zwrócony do Bentkowskiego mówił zna-
czącym tonem, że chociaż niejeden tu ma większe tytuły do
dyktatury (przyczem widocznie siebie miał na myśli), on je-
dnak dla dobra Ojczyzny, żeby nie wywoływać rozdziwienia,
nic nie będzie miał przeciwko dyktaturze Langiewicza i go-
tów ją ze swoim oddziałem popierać. Po kwadransie takiej
rozstrzelonej rozmowy, Langiewicz powstał i rzekł, gotując
się do wyjścia: „Ponieważ tu o mojej osobie ma być mowa
i decyzya, więc najwłaściwiej będzie gdy wyjdę, żeby panom

zostawić zupełną swobodę dyskusji“. Wyrażono jednak życzenie, ażeby generał pozostał i był przytomny przy stanowczej naradzie. Langiewicz został. Jeziorański, Waligórski i Grabowski przemawiali za dyktaturą, a więc za rządem do pewnego stopnia jawnym, Chrzanowski „wystąpił z dość subtelną mową, w której, wytykając różne niejasności w oświadczeniach Grabowskiego i sam sobie różne kazuistyczne stawiając skrupuły, warunkowo tylko na dyktaturę przystawał“. Uwaga ta naocznego świadka o tyle jest znamienna, że Chrzanowskiego uważano powszechnie za główną sprężynę w utworzeniu dyktatury Langiewicza. Generał oponował przeciwko dyktaturze swojej lekko, w końcu ją przyjął. Stało się to dn. 9 marca.

Na tem historycznym posiedzeniu była jeszcze jedna figura niema, która przeszła do historii w zagadkowej aureoli. Był to Biechoński, komisarz R. N. na w-two krakowskie. Bentkowski powiada o nim, że „siedział jak martwa figura, ust ani razu nie otworzywszy i nie dawszy najmniejszym gestem lub poruszeniem twarzy żadnego znaku udziału na tę lub ową stronę w tem wszystkim, co się koło niego mówiło i robiło, tak że jeszcze śród posiedzenia pytano po cichu Chrzanowskiego: coby to była za zagadkowa osoba?“ Jaka była rola tego niemego reprezentanta R. N., poznany wkrótce z jego własnych słów.

Gdy już prawie wszyscy, z wyjątkiem Biechońskiego i Bentkowskiego, wypowiedzieli swoją opinię co do dyktatury, zapytano Bentkowskiego o jego opinię. Odpowiedział, że na tej naradzie znajduje się przypadkowo i nie posiada żadnej legitymacyi, upoważniającej go do przemawiania w podobnym zdarzeniu; jakkolwiek nie zna zamiarów i prac tajnego rządu teraźniejszego, zdaje mu się, że opinia stanowczo nachyla się ku dyktaturze generała Langiewicza. „Trzy postulaty — mówił — zdają mi się wynurzać: potrzeba jakiegokolwiek bądź rządu, pożądanie jawnego rządu i konieczność niedopuszczenia dyktatury Mierosławskiego. Miarkuję ze wszystkiego, co nawet członek i komisarz pełnomocny dotychczasowego rządu powiada — takim tytułem zasłaniał się Grabowski, — że rząd tak dobrze jak nie istnieje, przytem nie wiadomo, jak i gdzie go restaurować, bo w Warszawie zdaje się to być już niepodobnem i nikt nie ma wielkiej ochoty i powołania do brania na siebie tak wielkiej odpowiedzialności“. Przemawiał zatem za rządem jawnym, gdyż tylko taki rząd zdoła pociągnąć szersze warstwy ludności, ściągnąć kapitały zagranicz-

nych finansistów, a zatracając charakter spisku, nada powstaniu cechę narodową. „Prawda — mówił dalej, — że zadanie to jest trudne, może nawet niepodobne do urzeczywistnienia, ale ponieważ rządu wogóle a rządu jawnego w szczególności potrzeba, dadzą się może oba postulaty najwłaściwiej rozwiązać, wywieszając sztandar widomy powstania — imienną i osobistą dyktaturę — w jedynem miejscu, którem dysponujemy, to jest w obozie, pod strażą siły zbrojnej. Właściwą mechanikę rządową, t. j. rząd wykonawczy, ministerya, trzebaby oczywiście w stałym i bezpiecznym miejscu, chociażby tajemnym, ulokować, bo w obozie mowy o tem być nie może“. Za grożący powód do stworzenia innego rządu uważał możliwość dyktatury Mierosławskiego. Za najodpowiedniejszą w obecnej chwili osobę do objęcia dyktatury uważał Langiewicza, nie ukrywając jednakże i tego, że z chwilą ogłoszenia dyktatury Rosya będzie się starała wszelkimi siłami zniszczyć oddział Langiewicza, jako ideę mniej lub więcej prawowitej władzy.

W całej przygotowawczej akcji o dyktaturze nigdy idea jej nie występowała w jasno zarysowanych konturach, dopiero ujął ją w pewną formułę Bentkowski, proponując niejako dwie władze: wojskową i cywilną; wojskową — jako najwyższą, skupioną w obozie, i wykonawczą cywilną, jako rząd cywilny, skupiony w tajnych ministerjach. Może z powodu tego wypowiedzenia się Bentkowskiego późniejsi pamietnikarze, niewtajemniczeni w jego przypadkowy udział w całej akcji, uważali go za jedną ze sprężyn, poruszających ideę dyktatury.

Nim przejdziemy do kwestyi, jak i kiedy ogłoszona została dyktatura, słówko jeszcze powiedzieć musimy o roli Wojciecha Biechońskiego.

W krasomówczym popisie na temat wspomnień o roku 1863, który urządziło jedno z pism lwowskich, otwierając szeroko swoje bramy dla frazeologii patryotycznej, daje Biechoński kilka słów niby wyjaśnień do sprawy dyktatury, które, jakkolwiek nic nie wyjaśniają co do zasadniczego przebiegu sprawy, zawierają kilka drobnych szczegółików, odnoszących się do jego urzędu jako komisarza na w-two krakowskie. Dowiadujemy się, że onto właśnie ułatwił hr. Grabowskiemu widzenie się z Wysockim; obracając się z urzędu w rozmaitych sferach, popierających powstanie, nie zdołał jeszcze wyczuć „intrygi“, która się poza jego plecami knuła. „Notatka“ Biechońskiego niedość jednak ściśle przedstawia fakta na-

radę, która się odbyła w Goszczy w przededniu ogłoszenia dyktatury. Píše on: „Będąc w Goszczy w wilię ogłoszenia tego aktu, przekonałem się (zapóźno trochę! *Przyp. autora*), że wszystko zostało już przygotowane, a utwierdziło mnie jeszcze zapytanie Langiewicza, gdym się z nim wśród ćwiczących się oddziałów przechadzał: Cóżbyś ty na to powiedział, gdybym się ogłosił dyktatorem? Z największem zdziwieniem odpowiedziałem: Jakaż siłę wojskową masz po temu?“. Na tem się wszystko skończyło. Biechoński wrócił do Krakowa i tegoż samego dnia odjechał do Warszawy i zdał relację, „opartą na skombinowaniu wszystkich szczegółów, które składały się na tę doniosłą machinację“. Całe to opowiadanie, pisane w pięćdziesiąt lat po wypadkach, grzeszy co do samego faktu dyktatury brakiem ścisłości i brakiem pamięci. Będąc obecny na naradzie w Goszczy, gdzie rolę milczka odegrał, nie mógł nie wiedzieć o tem, co się dzieje, i nie słyszeć tego, co mówią. A właśnie w czasie tych narad, w których nietylko brał udział Bentkowski, nietylko podał plan, według którego nowy rząd miał być zorganizowany, ale za świeżej pamięci zapisał to wszystko, była postanowiona dyktatura. Widocznie Biechoński, pisząc swoje wyjaśniające wspomnienie po 50 latach, nie poradził się „Notatki“ Bentkowskiego, aby wspomnienie to zharmonizować z rzeczywistym stanem rzeczy.

Z tego, co wiemy od Bentkowskiego, wynika, że rozmowa Biechońskiego z Langiewiczem musiała chyba odbyć się przed naradą, którą z całą drobiazgowością opisał szef sztabu nowomianowanego dyktatora. Nie chodzi o to, co mogłoby być lepsze: rząd tajny czy dyktatura, bo rząd warszawski w ciągu całego powstania, a po powstaniu tem bardziej spotykał się z nader ostrą naganą i wprost obwinieniem o niedołęstwo, dyktatura zaś była zbyt krótkotrwała, aby coś o niej powiedzieć było można. Ale skoro Biechoński zdaje się dyktaturę potępiać zasadniczo i surowo jako „intrygę“, to milczące jego zachowanie się na naradzie w głównej kwaterze Langiewicza ze stanowiska reprezentanta rządu nie może być usprawiedliwione, tem bardziej, że nie zażądał od Grabowskiego, występującego w roli pełnomocnika, legitymacyi, ani nie odłożył narady do chwili wylegitymowania się. Tak więc, pomimo wyjaśnień Biechońskiego, rola jego nie przestała być taką, jaką ją przedstawił Bentkowski, to jest niewyraźną. Wogóle polityczne zdolności komisarza w-dztwa krakowskiego nie zajaśniały w tej akcji świetnie. Gdyby był

okazał więcej przenikliwości i poczucia obowiązku, byłaby cała dyktatura do skutku nie doszła i o jeden czyn niedojrzały i lekkomyślny byłoby mniej. Z „Notatki“ Biechońskiego dowiadujemy się, że Grabowski wobec niego „odgrywał rolę delegata R. N.“ Pierwszą czynnością urzędową przy zetknięciu się z nim powinno było być zbadanie legitymacyi, czego Biechoński nie uczynił. Gdyby był się zdobył na ten akt obowiązku urzędowego, przekonałby się, że Grabowski komisarzem nadzwyczajnym rządu nie był i upoważnień żadnych nie posiadał. W ten sposób byłby przeciął wszelkie jego „intrygi“ i nie dopuścił do dyktatury, która bałamuciła Langiewicza, wniosła w szeregi dowódców niesnaski i przyczyniła się niewątpliwie do rychlejszego niż może można było się spodziewać zmarnowania i zdemoralizowania znacznych stosunkowo sił zbrojnych.

Jeden domysł atoli w notatce Biechońskiego jest słuszny, ten, że „Grabowski przy pomocy swego przyjaciela, Józefa Kołaczkowskiego, oraz Bogumiła hr. Łubieńskiego z Poznańskiego, przyjechał do Krakowa już z gotowym planem, którego wykonania się podjął, udając pełnomocnego komisarza R. N.“. Był to — jakbyśmy dziś powiedzieli — ze strony Grabowskiego zamach stanu, a wykonanie jego ułatwiła okoliczność, że nikt na seryo nie zażądał od niego legitymacyi. Grabowski wyzyskał ogólny nastrój i niezadowolenie, jakie panowało w poważnych sferach społeczeństwa z R. N. w Warszawie, z tą opinią spotkał się w Krakowie, i to mu ułatwiło całą akcyę. Być może nawet, że istniało w tym względzie jakieś porozumienie w małym kółku. Biechoński musiał mieć zbyt mało doświadczenia, a może domyślności, przeto w sytuacji już istniejącej, w akcyi, która się toczyła koło niego, nie zorientował się i nie przeszkodził temu, na co się zanosilo.

Po tej dygresyi wróćmy do dalszego rozwoju wypadków, które po naradzie w Goszczy zasły.

Gdy wszyscy obecni, z wyjątkiem stale milczącego Biechońskiego, zgodzili się na dyktaturę, wywiązała się rozmowa na temat, jak i kiedy ją ogłosić. Co się stało z Biechońskim — nikt na pewno nie wiedział, znikł on z tego kółka nagle, a kiedy i z kim odjechał do Krakowa — nie wiemy. Według własnego jego zeznania, zamiarkowawszy nareszcie, że rozpoczyna się jakaś wielka akcyja, udał się do Krakowa, a stamtąd wprost do Warszawy.

Tymczasem po naradzie postanowiono decyzję utrzymać w tajemnicy, aż póki wszelkie formalności nie będą ukończone. Obawiano się zawsze jeszcze Mierosławskiego. Langiewicz, zwróciwszy się do Grabowskiego, Chrzanowskiego i Bentkowskiego, prosił ich, ażeby na jutro, t. j. 10 marca, napisali odezwę, wydrukowali, w pieczęcie R. N. zaopatrzyli i do obozu dostarczyli, ażeby ją przed wojskiem odczytać. Około godziny 3-ej po południu wrócili do Krakowa, gdzie umówili się zejść wieczorem w mieszkaniu Chrzanowskiego dla zredagowania odezwy. Gdy się już zeszli, ktoś zaproponował, ażeby każdy napisał osobno, a po przeczytaniu albo jedna z trzech pójdzie, albo się ułoży wspólną. „Poprzednio koniecznie zgodzić się musimy — rzekł Bentkowski — na kilka punktów zasadniczych, nieodzownych, a resztę dopiero zdać na retoryczną fantazyę i stylistykę pojedynczych redaktorów. Otóż ja jestem zdania, że do tych nieodzownych, zasadniczych punktów należy najprzód: wypowiedzenie, że objęcie dyktatury dzieje się z woli dotychczasowego R. N., a przynajmniej wskutek jego życzenia; powtóre, wyraźne odwołanie się do manifestu z d. 22 stycznia i wypowiedzianych w nim zasad, z oświadczeniem, że dyktatura niczem programatu R. N. nie zmienia, gdyż jest niejako dalszym jego ciągiem w innej formie; po trzecie, krótka wzmianka, że osobny dekret urządzi organizacyę rządu cywilnego; wreszcie, że objęcie dyktatury nastąpiło w porozumieniu z generałem Józefem Wysockim“.

Z powodu bardzo gorącego zajęcia się sprawą dyktatury, Bentkowski, jakkolwiek z wszelką pewnością przypadkowo w całą tę akcyę wplątany, słusznie poniekąd wyrastał na głównego aktora i jej moralnego niejako sprawcę. Tem bardziej upoważniała do takiego mniemania dalsza jego czynność, wynikająca już może z roli jego, jako szefa sztabu Langiewicza.

Wysocki, który, jak wiemy, wzdragał się jechać do Krakowa na zaprosiny Siemieńskiego, nie wiadomo pod wpływem jakich namów i okoliczności na przyjazd się zgodził i przybył podobno dn. 9 lub 10 marca rano. Bentkowski, dowiedziawszy się o tem po powrocie z obozu, odwiedził natychmiast generała, opowiedział co i jak się stało, oświadczając, że wieczorem mają układać odezwę dyktatora do narodu, prosił zatem, ażeby Wysocki, znany już dawniej ze swej działalności, pozwolił w odezwie zrobić wzmiankę, że objęcie dyktatury nastąpiło za jego wiedzą i zezwoleniem. W ten sposób miało

się nadać odezwie nietylko charakter poważniejszy, ale odejłoby się jej cechę jakiejś kontrrewolucyi i machinacyi osobistych. Wysocki, po pewnem wahaniu, dał na to swoje przyzwolenie.

Wieczorem przystąpiono we trójkę do redagowania odezwy. Chwilę tę opisuje Bentkowski szczegółowo i nie bez humoru. Tu dopiero zarysowała się wahająca się rola Grabowskiego. Może rozważył rzecz całą i przekonał się, że poszedł za daleko. Bentkowski ukończył swoją robotę w pół godziny, Chrzanowski już coś „smarował na drugim arkuszu“, a Grabowski „gryzł pióro, medytował i wcale jeszcze pisać nie zaczął“. Po chwili Chrzanowski podniósł głowę i oświadczył, że wkrótce będzie gotów. Gdy skończył, spojrzeli obaj na czysty arkusz Grabowskiego, który z pewnym ambarasem odezwał się: „Ja prawdziwie nie wiem, jak zacząć, bo to, co Bentkowski proponował względem wstępnych słów o woli rządu, niezupełnie się zgadza z położeniem rzeczy, gdyż kompletnego i porządkowego rządu właściwie już niema, więc też nie mógł on swej woli objawiać“. Chrzanowski z pewnem zdziwieniem spojrział na mówcę, Bentkowski zaś odparł niecierpliwie: „Daruj pan, ale to już nie pora do subtelných dystynkcyi. Jaki cel ma rząd i co on chce lub chciał, to zaiste panu lepiej wiadome niż mnie, który nic w tej mierze nie wiem. Wystarczy mi jednak, że pan, jako pełnomocnik tego rządu i nadzwyczajny komisarz, objawiłeś życzenie dyktatury generała Langiewicza i na nią się zgodziłeś. Z ewentualnymi skrupułami i dystynkcjami miałeś pan porę wczoraj na krakowskiej naradzie i dziś w Goszczy występować. Ale żeby teraz, kiedy wskutek pańskiej inicjatywy, w myśl pańskiego zdania i życzenia wszystko ułożono, kiedy jesteśmy w stadium wykonania i właściwie tylko o stylizację odezwy chodzi, wszystko znów w kwestyę podawać — tego nie rozumie“. Grabowski jął się tłumaczyć, że wyraża tylko osobiste skrupuły, poczem Chrzanowski począł dalej pisać, a Grabowski ogryzać kité u pióra. Wreszcie Chrzanowski skończył, Grabowski ani słówka nie napisał. Przeczytano oba elaboraty po kolei. Po długiej certacyi komu oddać pierwszeństwo, Chrzanowski począł kombinować odezwę z dwóch brulionów, które miał przed sobą. Cała ta czynność zakończyła się wreszcie tem, że Chrzanowski początek i koniec wziął od Bentkowskiego, środek wziął ze swojej odezwy i w ten sposób ułożony został ów dokument, który nazajutrz miał być przed szeregami zbrojnymi odczytany. Odezwę tę

koło północy zabrał Chrzanowski, aby ją wydrukować i w pieczęć zaopatrzyć, a nazajutrz do obozu wysłać. Bentkowski wątpi, czy nie stało się to o dzień wcześniej, gdyż nie przypuszcza, ażeby w ciągu kilku godzin można było ją odbić w kilku tysiącach egzemplarzy i pieczęcią R. N. opatrzyć, tem bardziej, że pieczęć taką należało jeszcze zrobić. Nie przedstawiało to wszystko takich trudności technicznych, jakie się nasuwały Bentkowskiemu, gdyż co do wydrukowania nie brakło zapewne pomocy, a pieczęć R. N., jeśli wierzyć pogłoskom, przezorny Grabowski kazał wcześniej przygotować.

Gdy w mieszkaniu Chrzanowskiego redagowała się odezwa od Langiewicza w imieniu R. N., Wysocki już był w Krakowie i niewątpliwie z innymi członkami komitetu krakowskiego co do dyktatury także się porozumiał, skoro dał pozwolenie zamieszczenia swego nazwiska na odezwie w formie, przyzwalającej na dyktaturę; z tem przyzwoleniem odezwa poszła do druku. W ostatniej chwili, zapewne już w korekcie, generał dodatek ów usunął, co mu nie przeszkodziło wcale nazajutrz rano udać się do obozu.

Odezwa w swojej części retorycznej mieściła kilkanaście frazesów głośno brzmiących, jakimi w takich razach zwykle się posługują, zwracając się do tłumu, potem było słówko o potrzebie jawnego rządu, następnie oświadczenie się z przyjęciem dyktatury, w końcu uspokajający plan tego rządu, który miał sprawować. „Zastrzegając dla siebie kierownictwo sprawami wojskowymi — brzmiało w odezwie — oraz prawo nominacyi naczelnych władz wojskowych i prowincjonalnych, uważam za konieczne zarząd spraw cywilnych powstania, jak niemniej administracyę oswobodzonych części kraju, powierzyć osobnemu zarządowi cywilnemu, działającemu z mego naznaczenia i w mojem imieniu. Zakres działania i skład tego rządu zostaną określone i ogłoszone osobnemi postanowieniami“. Nie chcąc narażać sobie członków dotychczasowego rządu, dodał ostrożnie, że „na razie nie wprowadza żadnych innowacyi i obiecuje prowadzić dalej sprawę rozpoczętą na tych samych zasadach“.

Zdaje się, że na Wysockim zdołano tyle wymóżyć, że zdecydował się do obozu pojechać i niechęci wzajemne między Jeziorańskim a Langiewiczem uciszyć. I tym razem wszakże Wysocki zajął stanowisko połowiczne. Nie pojechał wprost do Langiewicza, lecz zatrzymawszy się na komorze Baran, posłał do obozu gońca z prośbą, ażeby generał do niego przybył. Ze względu na wiek i zasługi wojenne Wy-

sockiego, nikt się nie sprzeciwił tym zaprosinom. Langiewicz z Jeziorańskim na wózku, inni konno udali się na miejsce wskazane. Dostrzegłszy z daleka grupkę ludzi pod lasem i powozy, zsiadli obaj z bryczki i piechotą ku onej grupie poszli. Wysocki, uściskawszy dyktatora, podał rękę Jeziorańskiemu i prosił ażeby w tak ważnej chwili, gdy jedność i zgoda potrzebne, nie wszczywał sporów i rozterek. Nietajno było nikomu, że zachowanie się Jeziorańskiego pozostawiało wiele do życzenia. Gdy się do niego Wysocki zwrócił ze słowami pojednania, udał zdziwionego i obrażonego, a Wysocki wyjaśnił: „Chodzi o to, abyś był przychylny i posłuszny generałowi Langiewiczowi“. Nie chcąc wszczynać bezpłodnych sporów, Langiewicz poświadczył skinieniem głowy, że zachowanie się Jeziorańskiego uważa za poprawne. „Tak być powinno — odrzekł Wysocki, — a mnie Bóg wie co napletli“. Poczem jeden z otoczenia Wysockiego podał dyktatorowi jakiś papier, a generał dodał: „Odczytasz to wojsku“. Odezwał się Jeziorański: „Chociaż nie podzielam — rzekł — waszego zapatrywania się co do dyktatury, generale, jednak ze względu na twoje zasługi i znane całemu światu miłość i poświęcenie się dla sprawy ojczystej, spełnię wszystko, czego żądasz. Służyliśmy wspólnie pod jedną chorągwią, walcząc o wolność bratniego i szlachtetnego narodu, i śmiem sądzić, żeśmy na swoją dolę spełnili niemało. Nie mogę wystąpić przeciw tobie, generale, i zrobić ci coś na przekór. Masz we mnie wiernego i oddanego sługę do grobowej deski“.

Wzruszony do łez starzec, uściskał Langiewiczza i Jeziorańskiego, a zaproszenia pojechania do obozu odmówił i do Krakowa natychmiast wrócił. Na tem zakończyła się dość bierna, wahająca się i niewyraźna rola Wysockiego.

IV. DYKTATURA I STEFAN BOBROWSKI.

Tymczasowy rząd narodowy, rezydujący w Warszawie, a reprezentowany w chwili, gdy ogłaszano dyktaturę w Gószczy, wyłącznie prawie przez Bobrowskiego, wiadomość o spełnionem *coup d'état* powziął od Wojciecha Biechońskiego, który, dowiedziawszy się z faktu dokonanego, jak rzeczy stały, do Warszawy pojechał.

Na terenie wojny, w obozie i w najbliższem otoczeniu dyktatora, poczęły się rozwijać wypadki, jako konieczność spełnionego aktu. Po odjeździe Wysockiego nastąpiło odczy-

tanie proklamacyi dyktatora. Na polu za wsią uszykowano wszystkie oddziały, nadjechał Langiewicz ze sztabem, a gen. Jeziorański, zwoławszy oficerów, ogłosił, że naczelnik sił zbrojnych w-dztwa krakowskiego i sandomierskiego, generał Maryan Langiewicz, za zgodą i wolą R. N. jest ogłoszony dyktatorem. Poczem nastąpiło odczytanie odezwy, którą w streszczeniu już poznaliśmy. Pomijając uroczystości — że tak powiem — formalne, dodać należy, że wojsko w dwa dni później, t. j. 12 marca, w Sosnowce pod Miechowem, wysłuchawszy polowej mszy św., złożyło przysięgę na wierność dyktatorowi.

„Bądź co bądź — mówi pisarz rosyjski, — były to najpiękniejsze i najpodniosłejsze chwile w życiu Langiewicza, były to najjaśniejsze, najweselsze i można powiedzieć najpoetyczniejsze chwile powstania. Na ogołoconych z liścia gałęziach drzew pod Sosnowką przesiadywało ptactwo, zawożdzące czarowną pieśń: „Boże coś Polskę“, która dźwięczniej i donioślej niż głosy wszelkich słowików rozbrzmiewała smutno a głośno po zasypanej śniegami, nieprzytulnej puszczy“.

Na tej poetycznej chwili skończyło się wszystko. Zbliżała się burza, a z nią rozbitcie obozu, dyktatury i marzeń.

Już w Krakowie, prawie z chwilą ostatecznych narad nad dyktaturą, wyłoniła się sprawa zorganizowania rządu cywilnego. Nie było to rzeczą ani łatwą ani nawet w danej sytuacji możliwą ze względu na to, że jeśli nawet w dosłownem znaczeniu nie istniał rząd w całym składzie, to członkowie jego żyli i roli swojej urzędownie się nie zrzekli, trzeba było ich do pewnego stopnia uwzględniać i z nimi się porozumieć. Ale na to nie było na razie czasu. Wszystko przeto, co na temat nowego rządu cywilnego mówiono, wszystkie nazwiska, jakie w te kombinacje wchodziły, należy uważać raczej jako projekty, propozycje, niż rzeczywiste nominacje. Śród dorywczych wzmianek i propozycji była mowa o tem, ażeby pierwszą odezwę nowego rządu podpisali wszyscy członkowie imiennie, a w ich liczbie także hr. Adam Grabowski, któremu miało przyspaść w udziale ministeryum spraw wewnętrznych. Bentkowski, który odmówił udziału w tym rządzie, zaprotestował stanowczo przeciwko podpisowi a może i nominacji Grabowskiego, motywując opozycję swoją tem, że Grabowski należał zbyt niedawno do lekkomyślnej, marnotrawnej młodzieży, był kamerjunkerem dworu pruskiego, a przed długami musiał z Księżtwa uchodzić, że w końcu teść jego, książe Lubomirski, skompromitował go publicznie,

ogłaszając w dziennikach, iż posag żony otrzymał w całości i że nie ma prawa ani tytułu do majątku Lubomirskich. Wszystko to nie było tajemnicą, ale niewielu ludziom natomiast było wiadomo, że błędy swojej młodości mógł zatrzeć poważną pracą. Mówiono wreszcie, że gen. Wysocki wziął na siebie ministeryum wojny, a Leon Chrzanowski miał mu być dodany na szefa biura. Krążyła jeszcze inna wersja, jakoby Wysocki nie przyjął tego urzędu, ofiarowano go więc gen. Kruszewskiemu. Hr. Łubieński miał pozostać komisarzem na Poznańskie, a Tomasz Winnicki intendentem armii. Szefem sztabu pozostał Bentkowski, a Walery Tomczyński szefem sekretaryatu dyktatora. O Warszawie było głucho, ale wiedziano tam, co zaszło, gdyż Biechoński natychmiast po milczącym bez protestu wysłuchaniu narad i decyzji do Warszawy z ustnym raportem wyjechał, aby zdać sprawę — po niewczasie — R. N. Mówiono także, że dyktator mianował pierwszym sekretarzem A. Gillera, drugim posła Kantaka, ministrem wojny Wysockiego, spraw wewnętrznych — Królikowskiego.

Ponieważ piszę o dyktaturze tylko jako o formie rządu, pomijam przeto wszelką wojskową działalność Langiewicza w okresie jego krótkotrwałej dyktatury, wspominając jedynie o przebiegu samego faktu jej obwołania i związanych z nim okoliczności.

Po ogłoszeniu dyktatury trzeba było nareszcie zorganizować rząd. Pragnąc działać w porozumieniu jeśli nie z rządem, to bodaj z niektórymi z tych, którzy w nim brali udział, Langiewicz zasięgnął informacji u Grabowskiego, który, jak mu się zdawało, stał najbliższym rządu. To postawiło w drażliwej pozycji domniemanego „komisarza pełnomocnego“. Śród czynnych członków organizacji znaleźli się na liście: gen. Józef Wysocki, k-żę Marceł Lubomirski, hr. Henryk Potocki, hr. Stan. Potocki, a obok nich nazwiska zupełnie nieznane Barskiego i Prażmowskiego. Zapytany przez Langiewicza o naczelnika miasta, Grabowski odrzekł, że jest nim imiennik i krewny jego, a w słowach tych tyle tylko było prawdy, że Stefan Bobrowski rzeczywiście był zameldowany jako Grabowski. Na podstawie tych informacji Walery Tomczyński ułożył dekret o reorganizacji R. N. i jego wydziałów, który razem z odezwą dyktatora wysłano do Warszawy.

Stefan Bobrowski w liście z dn. 13 marca pisał do Pańdlewskiego: „Zaszedł wypadek niezmiernej wagi, mianowicie dyktatura Langiewicza. Były to następstwa słabości rządu

tymczasowego i zjawienia się Mierosławskiego w Krakowie dla dowództwa nad oddziałami krakowskimi z tytułem dyktatora“. Dodaje następnie, że Langiewicz „przyjął dyktaturę w porozumieniu z R. N. i dalej prowadzi tegoż politykę“. Manifest nadszedł do Warszawy dn. 12 marca. „W pierwszej chwili — pisze Bobrowski — Rząd Tymczasowy ogarnęło osłupienie i trwoga na myśl, jak się Warszawa zachowa wobec tego wydarzenia. Było z czego dostać gorączki“. Z powodu słabości rządu, rozprzężenia władzy, awanturniczego zachowania się Mierosławskiego, „Rząd Tymczasowy uznał fakt dokonany, gdyż wyjścia innego nie było: albo uznać go, albo ogłosić za wyjątego z pod prawa. To ostatnie było niemożliwe wobec jedyne go człowieka, który potrafił ująć i zorganizować powstanie bodaj w jakimś niewielkim kącie“.

Niemal cała poważna część społeczeństwa tak odczuwała niedojrzałość R. T., przenosząc siły jego w stosunku do podjętego wielkiego zadania, tak rozumiano potrzebę stworzenia jawnego rządu, że wiadomość o dyktaturze, według relacji Stef. Bobrowskiego, „wszyscy przyjęli z nieopisanym zapalem. Nawet najzagorzalsi Mierosławczycy — pisal do Padlewskiego — przyznają, że zaszły fakt jest stanowczy. Jeden z nich, chory i osobisty przyjaciel p. Ludwika, zresztą z łatwo wytłumaczoną goryczą, pił dziś ze mną zdrowie dyktatora“. Wiadomość tę z pewnem wewnętrznem niezadowoleniem komunikował Bobrowski przyjacielowi, który i sam potajemnie do władzy dyktatorskiej wzdychał, dał się tylko wyprzedzić na tej drodze szczęśliwшему odeń na polu walki Langiewiczowi. Osładzał mu przeto pigułkę, mając przed sobą wcale niejasne perspektywy. Pierwszem następstwem ogłoszenia dyktatury miało być rozwiązanie tak zwanej dyrekcyi, władzy funkcyjnej w Warszawie równorzędnie z R. N. i utrudniającej poniekąd jednolitości akcji; następnie bankierzy z Kronenbergiem na czele ofiarowali się z pożyczką i rozpoczęli rokowania, które skończyły się w kilka dni, tak samo jak dyktatura. W każdym razie Bobrowski, który w tym czasie nie miał żadnej poważnej głowy do pomocy, mógł śmiało powiedzieć, nie przewidując końca: „Ja odetchnąłem swobodniej“. Przyjaciela zaś pocieszał: „Zapewne, obojście może ci być przykro, żeś do tej pory nie dorównał twemu dawnemu koledze, lecz przed tobą droga otwarta — powstanie nasze potrwa jeszcze długo, a kto wie, kto i kiedy je zakończy. Tobie w tej chwili nie pozostaje nic innego, jak ogłosić bezwłocznie w oddziale dyktaturę Langiewicza“.

Tak był niewysoki poziom bezinteresowności obywatelskiej, że najgłośniejszych przywódców powstania trzeba było niekiedy uspokajać — przyjaźnią i nadzieją.

Dalsze wypadki, związane z dyktaturą, postępowały z nadzwyczajną szybkością.

Stefan Bobrowski, jedyna najtęższa głowa w R. T., stał na rozdrożu, nie wiedząc, jakie zająć stanowisko względem dyktatora. Na dyktaturę godził się, bo nie widział prawie innego punktu wyjścia, ale tydzień minął, nim się odważył na krok stanowczy — napisania do Langiewicza w imieniu prawie fikcyjnego rządu, którego powagi jako jego członek musiał do pewnego stopnia bronić, a równocześnie władzy z rąk w zupełności nie wypuszczać. Trzy lata niemal życia poświęcił, aby ją stworzyć — miałże ją oddać innemu? Zadanie było trudne, a nikogo przy sobie nie miał, na kim mógłby mocno polegać, kto mógłby go wyręczyć. Pretensyi samolubnych nie brakło; mogły one wystarczać do załatwienia codziennych drobiazgów, ale w wielkich momentach brakło tęgiech doradców. Musiał przeto sam zająć się zredagowaniem listu do Langiewicza w imieniu nieistniejącego rządu i sam z nim jechać. Stało się to dopiero dn. 16 marca, już po dyktaturze. Odezwa była w tonie rozdrażnionym i polemicznym, pomimo że chwila nie nadawała się do polemiki i że niezadowolenie powinno było zamknąć się w granicach tajemnicy rządowej. Bobrowski przemawiał w imieniu R. N., oświadczył, że wieść o dyktaturze przyjęto radośnie, że rząd „gotów był uznać rewolucyjną legalność dokonanego faktu“, że postanowił „bez uwag i przedwstępnych narad przedrukować i ogłosić manifest dyktatorski“. „Rząd w przekonaniu, że ster powstania przeszedł w odpowiednie ręce, z radością — jak zapewniał Bobrowski — powitał chwilę, w której mógł z czystym sumieniem się rozwiązać, gdyż oświadczenie, że dyktator uważa się za kontynuatora rewolucyjnej i narodowej polityki komitetu, uważano za porękę niejako, że zasady kierownicze komitetu nie zostaną naruszone, a dyktator nie da się opanować i kierować reakcyi“. W tych pochwałach tkwiły także nagany. Już w trakcie przedrukowywania odezwy dyktatora, R. T. dowiedział się, że dyktator szukał oparcia u „politycznych intrygantów“, wyraził przeto swe niezadowolenie, głucho wprawdzie, w zdaniu, że dyktator otaczających go ludzi tolerować nie będzie „ze względu na dobro ojczyzny“. Nie szczędzono także dyktatorowi przestróg na temat siły „stronnictwa rewolucyjnego“

i niecnych zabiegów „koteryi szlacheckiej“. List wyjawiał następnie, że hr. Adam Grabowski, który całą intrygę miał prowadzić, nie był wcale pełnomocnikiem R. T., traktuje go więc jako „politycznego oszusta“ i „najpospolitszego awanturnika, o którym poważnemu politykowi wstyd nawet wspominać“. Bobrowskiemu chodziło o to, aby tych, którzy Langiewiczza zrobili dyktatorem, do władzy nie dopuścić. „My uznajemy fakta dokonane — pisał Bobrowski, jednak w żadnym razie nie zezwolimy, by rząd cywilny powstał bez naszego wpływu i przyzwolenia, zważając, że cały kraj tylko nami się trzyma i bez nas nie da się rządzić“.

Była to jasna zapowiedź nowych konfliktów i nowej nieuniknionej burzy, gdyby losy nie były pokierowały wojną i dyktaturą inaczej — mimo że R. T. ofiarował swoją pomoc Langiewiczowi.

Z listem tym wyjechał do Krakowa sam autor, chcąc się przyrzeć na miejscu stosunkom, poznać ludzi, którzy stali na czele ruchu w Galicyi i wybrać odpowiednią drogę postępowania.

Tymczasem dni złudzeń zbliżały się do końca. Najpierw Bagration dowiedział się, co się stało, potem Czengery zaczął osaczać dyktatora, i ostatecznie wpędzili go, pomimo dzielnej z razu obrony, w matnię pod Grochowiskami. Tych kilka dni od nominacyi do rozwiązania armijki dyktatora, jako wypełnionych akcją wojenną, pomijam.

Głodne i wyczerpane niedobitki oddziału dyktatora skupiły się dn. 18 marca w Wałczu. Forsowne marsze, ciągłe utarczki z wytrwale następującym nieprzyjacielem, bezsenność, głód zdemoralizowały żołnierza, rozluźniły karność. Małe zwycięstwa pod Chrobrzem i Grochowiskami bynajmniej nie podniosły ducha. Raporty poszczególnych dowódców oddziałów brzmiały rozpaczliwie; brakło prochu, kul. Nadeszły także wiadomości, że dziesięcioletni oddział Urusowa wyruszył z Radomia. W nocy tego dnia już się zaczęły wyłaniać różne projekty odwrotu, radzono np. cofnąć się ku granicy galicyjskiej, wolnej od nieprzyjaciela, i zająć taką pozycję jak w Gószczy. Langiewicz nie godził się na to — miał niemało przykładów, czem się to kończyło. W małym domku w Wałczu skupiło się, ile mogło powstańców z generalicyą. Dyktator siedział sam w małej izdebce zadumany. Była już godzina 2 po północy. Zawołał na radę Bentkowskiego, generałów Jeziorańskiego i Waligórskiego, pułkownika Ulatowskiego i Karola Borzysławskiego. Jeziorański uważał, że utrzymanie się

dyktatora przy jednym większym oddziale jest bezcelowe i szkodliwe, bo dyktaturę i dyktatora czyni zależnym od losu oddziału powstańczego, przy którym znajduje się dyktator, a biorąc też pod uwagę trudną aprowizację, trudne i uciążliwe ruchy wojenne, był zdania, że dyktator powinienby przemieszczać się z jednego oddziału do drugiego, z jednego terenu wojny na drugi. Jeziorański, również jak Waligórski, chciał, ażeby większy oddział Langiewicza podzielić na mniejsze i udać się w różne strony. Ulatowski radził iść w Kieleckie, Borzysławski popierał Jeziorańskiego. Bentkowski ujął tę sprawę z innej strony. Przyznając słuszność argumentacji Waligórskiego i Jeziorańskiego, zwracał uwagę na moralny i materalny stan armii, na nurtowanie w niej malkontentów; w takim stanie rzeczy odjazd dyktatora byłby uważany jak najgorzej, prawie jako ucieczka, a w ten sposób powaga jego byłaby zachwiana. Langiewicz utrzymywał, że odjazd jego jako dyktatora, po dwóch odniesionych zwycięstwach, w celu załatwienia spraw rządowych, nie wywarłby deprimującego wrażenia ani w wojsku, ani w opinii ogółu. Zdaje się, że w tym przedmiocie musiał mieć mocne przekonanie, gdyż po skończonej dyskusji rzekł stanowczo: „A więc podzielimy naszą armię na trzy lub cztery oddziały partyzanckie, które w różne udadzą się strony, ja zaś wyjadę na trzy dni do Krakowa dla uregulowania stosunków rządowych i cywilnych, potem udam się w Kaliskie lub Lubelskie“.

W ten sposób postanowiony został wyjazd dyktatora. Szczegóły, dotyczące podziału oddziałów i dyzlokacji ich, pomijam, gdyż chodzi mi o rozwój, przebieg i upadek samej dyktatury jako idei, jako rządu, nie zaś o działalność wojenną.

Bentkowskiego zatrzymał Langiewicz przy sobie, aby się naradzić nad wyznaczeniem dowódców i obmyśleniem eskorty dla dyktatora do granicy.

Rozdzieliwszy dowództwo oddziałów według upodobania między generałów, gdy już wszystko było gotowe do odjazdu, Langiewicz, jakby miał przeczucie, jak się cała sprawa obróci, pragnął w ostatniej chwili ukryć, a raczej zamaskować swój wyjazd i rozpuścił pogłoskę, że wyjeżdża na rekonesans. Liczna świta generałów, adjutantów, szefa sztabu, wreszcie eskorta ułańska nie nadawała temu orszakowi wcale charakteru rekonesansu. Obóz już się budził. Była godzina 5 rano. Orszak ruszył w kierunku Wislicy, gdzie między godziną 9 a 10 zatrzymał się na wypoczynek. Pojawienie się

na rynku większej grupy jeźdźców wywołało zaniepokojenie wśród Żydów, które przeszło w alarm, gdy się rozeszła pogłoska, rozmyślnie puszczona dla rychlejszego pozbycia się orszaku, że „Ruski idą!“ Popłoch udzielił się eskortie, która także poczęła po jednym umykać. Stąd ruszono na Opatowiec ku Wiśle.

Pomijam dalszy pochód, przeprawę przez Wisłę, aresztowanie dyktatora i osadzenie go w Tarnowie.

Fakt przejścia Langiewicza do Galicyi i wiadomość o jego aresztowaniu wywołała w szeregach i społeczeństwie wielką konsternację. Najrozmaitsze zaczęły krążyć pogłoski. Nie należy się temu dziwić. Warunki, w których została ogłoszona dyktatura, tak mało odpowiadały możliwości utrzymania jej jawnie, że ogłoszenie jej można było z pewną słuszością przypisywać intrydze politycznej, wynikłej z walki stronnictw, ambicyi jednostek, jak i świadomej potrzebie jawnej władzy, o którą dalsze czynności mogłyby się opierać, a upadek — zdradzie. Gdy dyktator w orszaku generalicyi wyjeżdżał z obozu do Krakowa, słyhać było za nim wołanie: „Zdrada“. Ze wszystkich domysłów, za pomocą których usiłowano zrozumieć i wytłumaczyć sobie wyjazd Langiewicza do Krakowa, ten właśnie jest najmniej prawdopodobny, a powtarzany przez innych, nosił charakter oszczerstwa. Motywy, podane przez dyktatora, były zupełnie wystarczające, moment, wybrany do tego, najgorszy, bo wśród powszechnego podrażnienia i zdenerwowania żołnierza. A trzeba pamiętać, że żołnierz ten w znacznej części składał się z ludzi najwykształceńszych i nie był tylko maszyną, poruszaną wolą dowódcy.

Utworzenie dyktatury w obozie pod Goszczą o tyle można nazwać intrygą polityczną, że się to stało bez wyraźnego porozumienia się z istniejącym bądź co bądź rządem i że rząd ten nie dawał żadnego pełnomocnictwa hr. Grabowskiemu. Wogóle dyktatura Langiewicza nie przyniosła żadnego pożytku, jak również żadnych strat dla powstania, jako całości, nie pociągnęła za sobą. W tej formie, w jakiej odbył się cały przebieg dyktatury, zdołała ona tylko poruszyć żywo całość narodową i świadomość niezadowolenia z istniejącego rządu tymczasowego; była ona tylko epizodem jaskrawym, błyskotliwym, pełnym nadziei mirażem. Gdyby nie słabe oryentowanie się Biechońskiego, który się o wszystkim dowiedział już w chwili zakończenia akcji, dyktatura byłaby do skutku nie doszła. Sama w sobie była ona wynikiem odczu-

wanej potrzeby zorganizowania nowego rządu jawnego, a jako idea tkwiła też w umysłach ludzi, którzy ten rząd składali. Stefan Bobrowski w liście z dn. 6 na 7 marca do Padlewskiego spowiadał się szczerze z sytuacji, planów i zamiarów— w tym samym czasie kiedy we Lwowie, Krakowie i Gószczy odbywały się narady nad dyktaturą, a nazwisko Langiewicza było na ustach wszystkich. Istną zmorą powstania stawał się patryotyczny awanturnik, Ludwik Mierosławski, któremu grupa skrajnie rewolucyjna ofiarowała dyktaturę. Arogancya tego człowieka, bezbrzeżne samochwalstwo, usta pełne brzmiących frazesów, wszystko to jednało mu młodzież, i zdawało się im, że słowa zastąpią czyny. Lekkomyślne zachowanie się pod Krzywosądem, ucieczka wreszcie wśród niezadowolonia żołnierzy — wszystko to w rzeczywistem świetle przedstawia charakter generała. R. N. zawahał się z oddaniem dyktatury Mierosławskiemu. W takiej przełomowej chwili powstać musiała myśl utworzenia jawnego, bodaj do pewnego stopnia, rządu, ażeby nareszcie posiadać poważną reprezentację narodową, nie zaś ukrywającą się poza nazwiskami bez znaczenia, bez talentów, bez doświadczenia, które przypadek na czoło narodu wysunął. Z doskonałą świadomością zdawał sobie z tego sprawę Stefan Bobrowski, kiedy słowami, pełnymi głębokiego przeświadczenia i wagi, pisał do Padlewskiego: „Nikt nie ma prawa oddawania władzy nad Polską pierwszemu lepszemu“. A jednak „pierwsi lepsi“ w znacznej mierze tworzyli R. N. Ażeby wyjść z tej sytuacji, Bobrowski pisał: „Skłoniłem R. T. do nawiązania stosunków z kilkoma politycznymi osobistościami, mogącemi przygotować kombinację i doprowadzić do utworzenia stałego i jawnego R. N. W tym celu wysyłamy jutro kogoś do Krakowa i Poznania. Od siebie zaś wyprawiam jutro (list był pisany z dn. 6 na 7 marca) kuryerów do Wysockiego i Langiewicza dla obznajomienia ich z obecnem politycznem położeniem w Warszawie, a zarazem do doprowadzenia do harmonijnej działalności tych naszych wojskowych znakomitości, czy to w przeciwdziałaniu intrygom reakcyi, czy też wobec nacisku anarchistów, gdyż nie można ponownie zdać na los szczęścia przyszłości kraju“.

Takie było stanowisko głównego i najbystrzejszego przedstawiciela T. R. N. w Warszawie, z którym doskonale godziła się dyktatura Langiewicza i przygotowawcza do niej akcja. Rdzeń rzeczy tkwił w tem, że działo się to poza plecami istniejącego rządu, bez jego aprobaty. Siemieński, o któ-

rym wiemy, że się stykał z Bentkowskim, Wysockim i Langiewiczem, mógł być istotnie owym „ktośm“, wysłanym do „wojskowych znakomitości“ z instrukcją ustną, nam nieznaną. Jeśli domysł mój nie jest błędny, to wina Siemieńskiego polegała na przekroczeniu instrukcyi, a hr. Grabowskiego na samozwańczem nadużyciu władzy; żaden z nich atoli na charakter dyktatury i jej losy nie wpłynął i szkody całej sprawie powstania nie przyniósł żadnej¹⁾.

Z listem od Bobrowskiego do Langiewicza, będącym do pewnego stopnia uznaniem dyktatury, wyjechali jakoby Gil-ler i Janowski, ale niełatwo było odszukać dyktatora. Rozwiązanie t. zw. „intrygi“ zbliżało się do końca. Gdy obaj wysłańcy R. N. z wielkim trudem i niebezpieczeństwem usiłowali zetknąć się z Langiewiczem, dyktator przekraczał już granicę i znalazł się pod kluczem austriackim. Wywołało to duże zamieszanie w szeregach powstańczych i połączone z niem następstwa; były to jedyne złe skutki czynu, poczętego w dobrej myśli, ale nie posiadającego warunków pomyslnego wykonania. Bobrowski prawdopodobnie już coś wiedział, gdy dążył do Krakowa, gdzie się ogniskowały nici zabiegów o utworzenie nowego rządu. Sytuacja była napięta i ciężka z powodu tajemnych wicherzeń Mierosławskiego. Miał słuszość Bobrowski, kiedy z głębi duszy wyrwały mu się słowa: „Strasznie ciernista i trudna to droga walki, którąśmy obrali“.

Już nie szło o dyktaturę, o władzę, lecz o rząd, którego powagę trzeba było ratować wobec nowych promiennych nadziei, któremi poczęto łudzić nas z Francyi. Okoliczność ta wpłynęła niewątpliwie na przyjazd Bobrowskiego do Krakowa. Wszyscy trzej znaleźli się przeto w prastarej stolicy Rzpltej polskiej. Dyktatura była skończona. Należało przywrócić R. N. i jego powagę. Wydano przeto odezwę informującą o zaszyłych zmianach i powrocie władzy do rąk R. T. Z braku pieczęci Stefan Bobrowski podpisał ją całym swoim imieniem i nazwiskiem. Wysocki i „inni“ nie sprzeciwiali się.

¹⁾ Żyje jeszcze jeden z członków R. N. z czasów Bobrowskiego, najmniej wprawdzie uzdolniony, o którym od wielu lat krąży pogłoski, że „coś pisze“. Może tam znajdziemy wyjaśnienie całej sprawy dyktatury z innego stanowiska. W każdym razie na bezstronność tych „wyjaśnień“ liczyć trudno.

Bądź co bądź rychłe powstanie i równie rychły upadek dyktatury wydawać się mógł ludziom niewtajemniczonym aktem pewnego rodzaju lekkomyślności, z którego trzeba się było usprawiedliwić i wyjaśnić, tem bardziej, że się sromotnie zakończył. Za winnych oczywiście uważano tych, którzy całą akcją prowadzili, czyli, ściślej mówiąc, inicjatywę do niej dali. Bobrowski, Giller i Janowski zażądali sądu nad hr. Adamem Grabowskim, który nadużył władzy R. N., mianując się samowolnie jego komisarzem pełnomocnym i działając jako pełnomocnik, a za współdziałal w usiłowaniu obalenia rządu pociągnięto do odpowiedzialności także Kołaczkowskiego i Władysława Siemińskiego.

Zaraz na pierwszym posiedzeniu sądu przyszło do scysyi między Bobrowskim a Grabowskim. Mało dotychczas mamy szczegółów, dotyczących tej sprawy, zakończonej śmiercią człowieka niezwyklego umysłu i zdolności, krążą zaś o niej różne wersje prawdopodobne. Uczestnicy najbliżsi tego ostatniego aktu z życia Bobrowskiego dotychczas nic nie powiedzieli. Hr. Grabowski, wezwany do wytłumaczenia się, oparł się dość zręcznie nie na osobistych impulsach, lecz na ogólnem położeniu w tej dobie, które wymagało czynnego wystąpienia w celu zorganizowania rządu. Kto zasiadał w tym sądzie, nie wiemy dokładnie. Nie wiemy również z całą dokładnością, czy sąd honorowy, który miał rozstrzygnąć sprawę pojedynku — o czem zaraz mówić będę, — był tym samym sądem, czy też inny miał skład. Wiadomo tylko napewno, że w sądzie honorowym uczestniczył generał Kruszewski.

Przesłuchanie obwinionych, Grabowskiego i innych, odbyło się w hotelu Saskim przy ulicy Sławkowskiej w Krakowie. Po skończonem przesłuchaniu Grabowski, wychodząc z pokoju, podawał wszystkim rękę. Gdy wyciągnął rękę do Bobrowskiego, ten swoją cofnął. Inna wersja powiada, że Bobrowski, zaraz po przyjeździe do Krakowa, wchodząc do Wysockiego, spotkał Grabowskiego, wychodzącego z przedpokoju, a nazwawszy go intrygantem, pogroził papierami, które miał w rękę. Grabowski uczuł się obrażonym i wyzwał go na pojedynek. Bobrowski odmówił, zarzucając Grabowskiemu, że wziął pieniądze na sprowadzenie broni — i nie sprowadził. Jedni mówią, że Grabowski usprawiedliwiał się konfiskatą, inni, że powołał się na świadectwo osoby trzeciej, która zobowiązanie Grabowskiego wzięła na siebie. Tak czy inaczej, dość, że wyzwania Bobrowski z razu nie przyjął, aż dopiero na orzeczenie sądu honorowego, który usprawiedli-

wienie się Grabowskiego uznał za wystarczające. Zastępstwo w tej sprawie honorowej zlecił Bobrowski przyjacielowi swemu, K. Krasickiemu, sam zaś wyjechał do Warszawy. Tadeusz Bobrowski pisze, że bratu jego Stefanowi, „Krasicki mało był znany“.

Ludzie poważni surowo osądzali sam fakt pojedynku i tych, którzy zapobiedz mu nie zdołali, choćby ze względu na bardzo nierówne szanse stron obu: Stefan Bobrowski dotknięty był krótkowzrocznością tak wielką, że o dwa kroki już osób nie poznawał, gdy Grabowski powszechnie był znany jako pojedykowiec. W takich warunkach wypadek nabierał charakteru zabójstwa. Sekundanci z lekkomyślnością nie do darowania dopuścili do spotkania.

Szczegółowego opisu tego pojedynku nie znamy. Wiemy tylko, że w dziesięć lat po śmierci Bobrowskiego Krasicki oddał matce jego ostatni list syna i okrwawione pamiątki. Jaka była treść listu — nie wiemy. Krasicki zaręczał o swej niewinności. „Po najgłębszem zastanowieniu nic sobie do wyrzucenia nie mam — pisał, — i gdybym był sekundował rodzinemu bratu, inaczej, jakem postąpił — postąpiłbym nie mógł“. To rzecz sumienia — dodamy. „Mam przekonanie — pisze Tadeusz Bobrowski, — że Stefan, zwątpiwszy o poślubionej przez siebie sprawie — a zanadto był bystry jego umysł i zanadto realnie rzeczy biorący, aby mógł długo w iluzji pozostawać, — sam już żyć nie pragnął, a wolał zginąć z cudzej niż z własnej ręki, nie szerząc zwątpienia“.

Może w tem jest cząstka słuszności. Stefan Bobrowski miał duszę wielką i szlachetną. Nastęstwa swojej działalności mógł przewidzieć bez trudności, odpowiedzialność zanadto mu ciążyła, wolał odejść, usunąć się, pozostawiwszy innym walkę nadziei i rozpacz. Mierzył siłę skrzydeł swoich na zamiary. Zwycięzcę nazywają wielkim, zwyciężonego — marzycielem.

Dyktator z Goszczy jeśli mniej tragicznie, to równie nie-szczęśliwie zakończył życie zdala od ojczyzny.





34401 /
2